



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## KONIEC Z KOŃCEM.

Ileż to prac podjętych a zwiedłych przed osiągnięciem celu; ile namiętnych podrzutów serca, które się na nie nie zdały...

Z *Kraśiński.*

Jest jeden minerał którego nie cierpię, minerał bez charakteru, nie umiejący utrzymać własnej całości, rozpadający się wciąż na drobnutkie cząsteczki, niespokojny, ruchliwy, najchętniej zatracający sam siebie w chemicznych połączeniach z obcymi pierwiastkami, a jeśli już występuje samodzielnie, to służy do mierzenia rzeczy najbardziej zmiennej, najniestalszej na świecie, to jest pogody, i ludzkiej temperatury. Ten minerał—to żywe srebro. Pierwiastki przyrody odbijają się niezmiernie często w objawach ducha ludzkiego; ową rękę ruchliwą, niespokojną, usłużną na wszystkie strony, wrażliwą a niestalą, unoszącą się łatwo i opadającą nisko za byle zmianą i wpływem, a przeszkadzającą harmonii i jedności, na jakich zawsze stoi całość czegoś dobrego i możliwość dopięcia celu, ową rękę niebezpieczną spotykamy i w życiu ludzkości i losach poszczególnych jednostki. Wszędzie ona przeszkadzała w zaokrągleniu całości działania, w porządnym ukształtowaniu się pracy, w doprowadzeniu końca z końcem.

Niejeden człowiek zamierza wiele, coś zaczyna bardzo dobrze, początek roboty jest pomyślny, a potem brak planu, za duże zobowiązania, nieumiejętność streszczania sił swoich w jednym wytkniętym kierunku, rozpierzchanie się energii i wytrwałości, prowadzą do utraty wszelkiej

korzyści z zamierzonej pracy. A jednak, porażki takie ponosimy bardzo często, a zwalając winę na jakieś postronne fatum, mówimy—że nam się nie szczęści. Nie możemy się doszukać skutków ciężkiej nieraz pracy, nie możemy się doliczyć korzyści z włożonego kapitału dobrych chęci, nie możemy trafić do celu, choć się niby ciągle spieszymy. A czy my rozumiemy dobrze naszą pracę? czy my rachujemy dokładnie wartość naszych chęci, czy my znamy porządnie tę drogę, na której tak się nieraz męczymy, lecąc na oślep? Wpatrzeni w daleki cel, w przewodnie gwiazdy, w błyszczące hasła, nie pilnujemy jednak: kroków naszych, nie liczymy się z dniami tej pięknej wędrówki, nie sumujemy cyfr rocznych, aby wedle nich regulować życie, a życie jest niemiłosiernie logiczne, nie da nam nigdy złożyć w całość tego, czegośmy się nie starali dociągnąć koniec z końcem.

Mieliśmy pożyteczne dla nas i dla ogółu dążenia, a jednak działalność nasza nie dopisuje i wpadamy w zniechęcenie do własnych pomysłów i zamiarów, obwiniając świat cały, a nie szukając przyczyny tam właśnie, gdzie onatkwi naprawdę. Któż temu winien? Przedewszystkiem mnogość tych podjętych spraw, a nie możliwość wypełnienia ich dokładnie. Zupełnie jak owe żywe srebro, czepiamy się tego i tamtego, łączymy się ze wszystkim co jest dobre i w końcu gubimy się sami w nadmiarze różnych początków, z których każdy raz podjęty, staje się obowiązkiem, i zawodzimy siebie i sprawy, nie mogąc wydołać nadmiarowi zajęcia. Już stare przysłowia ostrzegały ludzi, że dwom panom służyć nie można i że lepiej mniej a dobrze, niż wiele a licho. Ale to tak pięknie brzmi: taka wszechstronna działalność! Tylko że działalność jest tu nieraz złudzeniem; kto naprawdę działa, ten—zaczyna i kończy. Są naturalnie zagadnienia, których wcielenie i urzeczywistnienie jest zadaniem wielu pokoleń; mówię tu jednak o tych

sprawach, którym oddane być może życie człowieka poszczególnego. Gdybyśmy się ściślej obliczali co roku z tem cośmy wykonać mieli i o ile to się stało, to rok następny możeby lepsze przynosił plony, a w każdym razie, dokładnie określony plan działalności, i doprowadzony do końca, ile tylko warunki życia pozwoliły, dałby nam duży zasób spokoju, że się zrobiło co można i że wina nie leży ani w niedbalstwie, ani w lekkomyślności, ani w bezrozumnym porywaniu się na to co nad siły. Jedna perła dobrze obrobiona choć mniejsza, więcej warta od dużej z rozpoczęciem dopiero cyzelowaniem. My jednak na nitkę marzeń naszych chętnie nawlekamy wszystko, co wielkie, nie chce nam się, jak to mówią: dłużyć koło drobiazgow, a tymczasem zsuwa nam się z przędzy złudzeń klejnot nieobrobiony, a drobiazgi mści się będą za lekceważanie. I przyjrzyjmy się tylko, ile my różnych sił marnujemy, ile to nam się w życiu rozlicznych rzeczy nie schodzi koniec z końcem, a chcąc być jeszcze w uwagach tych ściślej, zwracam się tu tylko do kobiet.

Ile my uczuć, wzruszeń, uniesień wkładamy w to, co wcale takiego nadmiaru serca nie warte. Bierzemy każde zdarzenie przykrzejsze, każdą próbę, niespodzianą trudność tak groźnie, tak egzaltowanie, tak niemal dramatycznie, iż przez to samo powiększamy istotę tej przypadłości, tracimy swobodę umysłu w ocenieniu prawdy wypadku, wpadamy w błędy, w omyłki i tracimy miarę, jeden z najważniejszych czynników porządku wewnętrznego i warunków życia na zewnątrz.

Tak puszczane samopas uczucia tracą zupełnie swą sprężystość i równowagę w obec istotnych wydarzeń doniosłej treści, zastępują je wtedy upadek ducha, niemoc charakteru i bezdenne zniechęcenie; w takim ważniejszym wypadku trudno już pozbierać rozproszone serce i dojść z niem do końca, trudniej już stawić czo-

ło, bo się nie przywykło stawiać czoła — codziennie. Jedna próba nie nauczy wszystkiego, cały szereg chwil przygotowuje na mającą wybić godzinę, a taka godzina nie poczeka aż dojrzejemy na jej przyjęcie. Powiadają, że w jednej czasem godzinie człowiek dojrzewa; tak, ale to niewątpliwie taka dusza, która — dojrzeć mogła; pod naciskiem jednego i tego samego wypadku nie wszystkie przecie dusze dojrzeją choć nieraz bardzo blisko siebie. Tę iscie ręciovą wrażliwość powinnyby kobiety koniecznie w sobie umiarkować i tak fałę uczuć opanować umiejętnie, aby się z niemi zawsze obliczyć można było, aby nie stawać się ofiarą własných niespodziewanych uniesień, przedmiotem krytyki i pastwą porażki serca, której można było uniknąć. Nie znam wyborniejszego wypowiedzenia wojny owej nadczułości serca u kobiet, jakie się znajduje w przedmowie do „Pamiętki po dobrej matce“ Hofmannowej.

Aby dojść do porządku z sercem własnym, niepodobna też było wymagać od niego *wszystkich* dobrych uczuć w wybitnym stopniu; są takie kobiety, które chciałyby cały szereg cnót doprowadzić do doskonałości, a popadają przytem w niecierpliwość, że im trudno dojść do owego szczytu. Po co tak naraz wszystko w sobie zapalać? W *zasadzie* wszystko trzeba czuć i mieć w sercu, ale niechby nam się każdej udało mieć jedną cnotę wydoskonaloną, jeden jakiś przymiot, po którym jak po promieniu Röntgena bliźni by do wnętrza naszej duszy trafili, to i dosyć na początek, bo w tym labiryncie doskonałości może byśmy do końca nie dotarli. Wyrobić w sobie coś dobrego, coby było naszym, własnym, typowem, a jeśli można dalej iść, to dalej, ale porządnie, bez tego tabunowego uczuć natłoku z którym w życiu codziennem jest co najmniej niewygodnie, a w zdarzeniach wyjątkowych niebezpiecznie. Oto jedno pole, na którym kobieta często błądzi, cierpi i pokutuje, bo nie obliczała się z własnym — sercem. Nie oblicza się ona tak, że nieraz — z myślą, z zamiarami, z pracą, z drogami swojemi, pragnąc za wiele, ponad siły, ponad normalną możebność.

Znałam jedną gospodynię wiejską, była młoda, energiczna, wykształcona i zdrowa, miała warunki stania się wzorową obywatelką; cóż, kiedy zbyt, przesadna gorliwość i rzucanie się do wszystkiego, przemożło ją i straciwszy zdrowie, gasła przez lat kilka, patrząc na ruinę tego wszystkiego niemal, co w ruch wprowadziła. Mało jej było być dobrą gospodynią, żoną i matką, jeszcze zastępowała nauczycielkę chorą w szkółce elementarnej, uczyła sama w szwalni, robiła przybory kościelne, lekarstwa dla ludu przyrządzała, jeździła po kweście na szpital miejscowy, nawet umiała meble pokrywać i dla dzieci swoich sporządzać obuwie! Wrócono jej, że niedaleko pociągnie, i oto dziś spoczywa pod krzyżem i już ani jednej dobrej rzeczy nie dokończy; dzieci jej własne dostały macochę, szwalnia upadła, a szpital nie przyszedł do skutku. Żeby choć drugich była wezwała do pomocy; nie, chciała wszystko robić — sama i nie doprowadziła nic do końca. Jest druga w okolicy, jej sąsiadka, ta dokona wielu rzeczy, bo czyni powoli, po kolei, roztropnie, — godząc pracę, zabawę, obowiązki, zamiary, siły, drogę i cel, i idzie oto naprzód wśród plonu już dojrzewającego, sympatyczna żniwiarka, miarowym krokiem, nie zdyszana a słowna, nieegzaltowana a budząca zaufanie, że to co ona zaczyna, to się pewno uda i pożytek przyniesie.

Na każdym miejscu, w mieście, na wsi, w dużym gospodarstwie, czy w ciasniejszym zakresie, w każdym powołaniu, fachu i zawodzie, oprócz niezbędnych zatrudnień codziennych, można jeszcze coś przybrać do spełnienia, ale trzeba obliczyć czas i siły i możebność materialną, czy zaczętej sprawy nie zdradzimy w pół drogi. Z każdym rozpoczynającym się rokiem obliczamy się, i lepiej zamierzyć na grzędę pracy, a obrobić cały zagon, niż marzyć o morgach działalności, a ugorem zostawić zagony. Nie narażamy się na zawody serca i pracy, na przegrane uczuciowe i krachy gospodarskie, na szarpaninę marzeń, a w danej chwili na techorzostwo

i słabość w obec rzeczywistości; nie szukajmy w sobie bohaterów, lecz szeregowców, dojrzejmy jak żyto w słońcu, a nie jak zjawisko w świetle meteorów, i odrabiamy sumiennie każdy w roku dzień, a wtedy każdy rok zastanie nas bez strachów w sercu, bez wyrzutów w sumieniu, bez goryczy na ustach, a zniechęcenia w umyśle — powitamy go uściskiem silnej dłoni, uśmiechem pogodnej duszy i gościnnością obowiązkowego człowieka, który umie dobijać do końca i pewnym się czuje na swoim własnym progu.

Szczęśna.

Piotr Głmielowski.

## Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg)

IV.

Adam Mickiewicz.

Mickiewicz wystąpił otwarcie pod sztandarem romantyzmu, ale zanadto miał dzielności umysłu i zanadto cenil piękno utworów grecko-rzymskich, by chciał popierać te krańcowe teorie, jakie się w szkole romantycznej niemieckiej Tiecka wyrobiły. On poszedł tym samym torem, co wielcy twórcy nowożytnej poezji niemieckiej, Goethe i Schiller, ceniący zarówno harmonijny umiar w twórczości starożytnych, jak powaby fantazyi i wybujałej uczuciowości u poetów średniowiecznych. W przemowie do pierwszego tomiku „Poezji“ swoich (r. 1822 w Wilnie) nie poszedł on dalej w potępieniu smaku francuzkiego nad swego profesora, Borowskiego; plastyczniej tylko, niż on, wyraził swoje zdanie, mówiąc: „Strój francuzki zbyt jest prosty i jednostajny; zarówno służy bohaterom, radcom stanu i tancerzom, drobnemi tylko rozróżniony ozdóbkami. Do zatrudnień życia towarzyskiego najstosowniejszy i dla tego powszechnie przyjęty, sztukmistrzom wszakże okazał się niewygodnym. Artyści dramatyczni i mówcy w ubiorze francuzkim muszą swoje poruszenia i akcję zewnętrzną bardzo miarkować, gdyż każdy giest gwałtowniejszy, draperyą niezłagodzoną, wyda się zbyt ostrym i rażącym. Rzeźbiarz i malarz nie śmie posągu lub obrazu po francuzku ustroić; wszelka albowiem piękność składu i proporcji ciała pod tym ubiorem zakryć się i zniknąć musi. Też same są właśnie przymioty i niedostatki mowy francuzkiej; można w niej wydać każdą myśl i uczucie, byleby niezbyt śmiała i gwałtowna, gdyż dla niedostatku odmian w składni i wyrażeniach wszelkie niepospolitosci nadto uderzają; poprawna i jasna w wykładzie umiejętność ścisłych, w rozmowie potocznej łatwa i wygodna, a ztąd upowszechniona, jest znowu dla zbytnej regularności nadto niewolniczą i zawsze jednostajną, czyli się nią rozum czy serce tłómaczy...“ Pienia Greków ożywiał duch publiczny, romantyków — rycerski, poetów Ludwika XIV-go — dworactwo. Pierwsi przemawiali do całego oświeconego narodu, drudzy do wojowników i gminu, ostatni mieli na celu zabawy klasy oświeceniowej tylko. Grecy wykształcili mowę poetyczną do najwyższego stopnia doskonałości; poeci romantyczni język nieokrzesany zdobili śmiałą imaginacją i gorącym uczuciem; francuzka poezya w zewnętrznych ozdobach wynekana, nie miała właściwego stylu, była zawsze *prozaiczną*.

Uznając poezję za wytwór ducha narodowego i czasu, Mickiewicz umiał oczywiście cenić jej

objawy u wszystkich narodów i we wszelkich epokach. Domagał się więc od krytyki, ażeby unikała stronniczej natarczywości w wytykaniu błędów sztuki jednego rodzaju, uwzględniając zawsze okoliczności, wśród których dzieła powstały. „dla krytyków — pisał — rozważających sztukę nie tylko estetycznie, ale też historycznie, filozoficznie i moralnie, wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą: wszystkie są tworem ludzi, ze wszystkich wyczytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniej z tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia.“

Jeżeli tak jest, jeżeli wszystkie rodzaje poezji są jednakowo godne uwagi, to dla czego Mickiewicz obrał sobie rodzaj romantyczny, „zostający pod kłatwą?“ Na to daje nam odpowiedź poeta, mówiąc, że w dzisiejszym stanie Europy utrzymało się wiele opinii, odzywa się jeszcze wiele uczuć z czasów rycerskich, średniowiecznych, kiedy romantyczność we właściwym znaczeniu tego wyrazu panowała. Ażeby te cechy, przekazane przez wieki średnie narodom nowożytnym w spuściznie, zniszczyć, potrzebowałyby wprzód „zmienić charakter narodów,“ co jest niemożliwością; niemożna zatem przeczyć prawie społecznym poetom, by te cechy w dziełach swoich ujawniali.

Czy przedmioty, wzięte z wyobrażeń i uczuć świata romantycznego, dają się szczęśliwie w poezji nowożytnej traktować? Przykłady wielu „wzorowych romantycznych sztukmistrzów“ świadczą wymownie, że rozstrzygnięcie tej kwestyi twierdząco nie może ulegać wątpliwości by najmniejszej. Wprowadzanie dyabłów, upiórów i t. d. nie stanowi wcale zasadniczego znamienia romantyczności i ci, którzy z tego jedynie względu przeciwko niej występują, mają słusność zupełną. Tylko niech nie utożsamiają wewnętrznych widzeń duszy, o których przecie już klasyk Słowacki tak pięknie pisał, z gusłami bab, gdyż wówczas poeta odpowie „mędrcom“ ze szkiełkiem w oku:

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,  
Widzisz świat w prozku, w każdej gwiazd  
[iskierce,  
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!  
Miej serce i patrzaj w serce!..“

„Łamanie prawideł“ nie jest także znamieniem romantyzmu. Wprawdzie chcący „podług ułamku poetyki Arystotelesa wyrokować o Homerze, Aryście, Klopstocku, Szekspirze, podobny będzie do sędziego, któryby podług praw Solona, albo XII tablic stanowił w sprawie Greka, Włocha, Niemca i Anglika,“ — ale z tego nie wynika bynajmniej, iżby krytyka sztuk pięknych nie miała „pewnych i stałych zasad.“ Istnieją one niewątpliwie, tylko, jako w świecie moralnym są jedne prawa wrodzone sumieniu każdego poczciwego człowieka, w każdym czasie i narodzie; drugie, od prawodawców stosownie do okoliczności stanowione, za zmianą ducha czasu i obyczajów zmieniać się mogące; tak i w świecie imaginacji są istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki we wzorowych dziełach jakiegokolwiek bądź rodzaju zachować umie i powinien, kiedy dalsze przepisy krytyczne, z uwag nad dziełami wyciągnięte albo wyciągnąć się jeszcze mające, ze zmianą usposobień umysłowych, a ztąd i ze zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą.

Otworzył więc u nas Mickiewicz rozległe szranki dla wyobraźni i uczucia, lecz bynajmniej nie sądził, iżby one do nieskończoności rozciągać się miały; poczucie harmonii i wszechstronna rozważa hamowała u niego rozpęd fantazyi.

To też pojęcia Mickiewicza o zadaniach krytyki są najzupełniej zgodne z tym rozległym poglądem na warunki powstania twórczości poetyckiej. Potępiał on stanowczo tę krytykę „szkolną,“ której się zdawało, że nie potrzebuje żadnych zgoła innych nauk i wiadomości, „oprócz dziesięciu kart Arystotelesa i Poetyki Boala,“ i że może wyrokować „zuchwale“ o wszystkim co przypada lub nie do jej rozmiaru. Był nato

miast zwolennikiem krytyki „historycznej,” wytworzonej przez teoretyków romantyzmu niemieckiego, a rozważającej dzieła poetyckie „pod względem narodu, gdzie one wzięły początek, czasu i okoliczności, wpływających na ich wzrost i dojrzwianie,” krytyki wreszcie, która „oceniając talent pisarza według łatwości, jakie znalazł, albo trudności, jakie zwałczył, nie stawia wyroku, ale pisze historię sztuki.”

Te myśli wypowiedział Mickiewicz w nieskończonej rozprawie swojej: „Goethe i Byron,” napisanej prawdopodobnie w Moskwie r. 1826. Wiadomo, że w kilkadziesiąt lat potem w takiż mniej więcej sposób określił zadanie krytyki estetycznej Hipolit Taine, znakomity twórca estetyki pozytywnej. Oczywiście nie brał on tej myśli od Mickiewicza, lecz przyszła mu ona z rozważania tego samego przedmiotu, to jest dziejów sztuki w ogóle, a poezji w szczególności. Widząc, jak w różnych dobach rozwoju cywilizacyjnego panował smak estetyczny odmienny, rozważając mianowicie przemianę, dokonaną w pojęciach literackich i artystycznych przy końcu wieku XVIII, doszli oni do tegoż samego przekonania, że wyrokować „zarozumiale” o bezwzględnej wartości dzieł sztuki jest rzeczą śmieszną, a przynajmniej niewłaściwą, należy raczej wyjaśniać, dla czego taki właśnie a nie inny smak estetyczny panował w pewnej oznaczonej epoce, warunkując sobą powstawanie dzieł sztuki. Rozjaśnienie genezy dzieł sztuki poczytali oni i słusznie za rzecz daleko ważniejszą i bardziej interesującą, aniżeli ogłaszanie wyroku chwaleńczego i potępiającego ten lub ów utwór. Nie znaczyło to bynajmniej, iżby należało się w ogóle wyrzec wszelkiego zdania o wartości dzieł sztuki. Każda epoka i każdy naród może sobie wytwarzać takie lub inne w tej mierze zdanie, stosownie do swoich pojęć i potrzeb; ztąd mogą te same utwory, rozpatrywane z odmiennych punktów widzenia, przedstawiać się rozmaicie różnym narodom i różnym chwilom dziejowym, bo każde pokolenie ma prawo rozpatrywać nanowo wszystko to, co mu przeszłość w dziedzictwie pozostawiła. Są to oceny, że tak powiem utylitarne; uprawnione niewątpliwie, ale nie jedyne; ocena zaś z historycznego stanowiska najlepiej spełni wielkie zadanie: *zrozumienia* utworu danego.

Nie w tym jednym tylko punkcie zeszedł się nasz wieszcz z wielkim teoretykiem francuzkim, zupełnie od niego niezależnie, bo znacznie wcześniej. Mamy jeszcze drugą do zaznaczenia wspólność. U Taine’a wielką odgrywa rolę „zasadnicza” cecha pewnego pisarza, pewnej epoki, pewnego narodu. I Mickiewicz był tego zdania (w odczycie „O duchu narodowym”), że „jak w człowieku indywidualnym wszystkich jego działań czy politycznych, czy literackich, jest zasadą pewne uczucie, które lud wyraża ogólnym znakiem, nazywając jednego poczciwym, drugiego chciwym, trzeciego dumnym etc., i z tego nazwiska, jeśli jest słusznie nadane, można najlepiej wszystkie działania człowieka tłumać; — tak i potrzeb i i dążeń narodowych jest zasadą pewna myśl, pewne powszechne uczucie.” Póki trwa ta myśl, póki to uczucie ożywia wszystkich, póty narody żyją i rosną. „Takim uczuciem Rzymu było ciągle podbijanie świata, i skoro interes jednego człowieka położyl granice rozwijaniu się tego uczucia, Rzym upadał zaczął. Takim uczuciem Turcyi była propaganda Koranu, a w Rewolucyi francuzkiej—propaganda rewolucyjna i wojna z monarchami; słusznie historyk jeden powiedział, że „pierwsze układy z królem były symptomatem śmierci rewolucyi.”

Że od krytyki literackiej przeszliśmy aż do wielkich zagadnień cywilizacyjnych, rzecz to bardzo naturalna, gdy się wspomina myśli wielkich mężów, gdyż oni nie potrafili się zamknąć w szczytych granicach zagadnień powszednich, lecz orlim lotem wznoszą się na niedoścignione niemal okiem wyżyny. Mickiewicz należy do tych mężów całą istotą swoją, umiając zawrzeć w kilku słowach treść pobudzającą do myślenia godzinami całymi. Rozumiał on znaczenie i wartość rozpraw literackich, lecz łączył je z wiel-

kiemi zagadnieniami duszy ludzkiej i świata całego; a zarówno w teoretycznych wywodach swoich, jak i w twórczości poetyckich pozostawił nam karm posilną i zdrową którą żywić się będą szeregi pokoleń.

Wystąpienie Mickiewicza w literaturze rozpoczęło nową epokę rozwoju nie tylko twórczości poetyckiej, ale umysłowości naszej w ogóle. Jego wpływy i oddźwięki jego poglądów znajdować będziemy wciąż w dalszym rozwoju krytyki literackiej u nas.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studyum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Słońce gasło za wierzchołkami puszczy, młody Krzyżak przechadzał się, jak zwykle po wałę, marząc smutnie o dalekim kraju i rodzinie, nie wiedząc o tem, że już w zamkowej kaźni ostrą nożę, pod któremi ma dać krew swą bogom litewskim. Wtem dojrzał o zmroku postać dziewczycą w bieli, skradającą się po za wałę, po za dzikie chwasty... jeszcze chwila — postać się zbliża — i oto przed oczyma Ransdorfa staje pokraśniała Egle... chce przemówić, lecz wzruszenie tamuje jej oddech, wreszcie zdobywa się na kilka słów oderwanych: „Cudzoziemcze młody!... uchodź ztąd!... uchodź przedko!... przez Niemen!... uciekaj nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni!” Tu chwyta go za rękę i wiodąc go za sobą, bieży wśród zarośli, przez głązy i krzewy, powtarzając co chwila: „Spiesz się, spiesz, młodzianie!...” Serce jej drży gwałtownie, oczy się iskrzą gorąco, a lice skraśnieje, to znów zblednie... Tak wiodąc, przyprowadza go do tajemnej otchłani, gdzie już czeka na nich stary Lutas, który — odwaliwszy kamień, zakrywający wejście do podziemia, wskazuje Krzyżakowi drogę do ucieczki ku Niemnowi, wzięwszy poprzednio przysięgę od niego, że nie zdradzi przed Krzyżakami tajemnej ścieżki. Ransdorf żegna Eglę — i dawszy jej swój krzyżyk na pamiątkę, znika w podziemnej otchłani.

Ocalając w ten sposób Krzyżaka, Egle wie, że naraża się na odpowiedzialność kroku i być może nawet na karę śmierci... Czyn więc jej jest bez wątpienia w swej świadomości szlachetny i bohaterski, a pobudka jego leży w silnej miłości młodego dziewczęcego serca. Życie, które niedawno wahała się oddać bogom dla dobra ojczyzny, oddałaby teraz chętnie za ocalenie ukochanego. Miłość więc ku niemu była w sercu Egle silniejszą, niż przywiązanie do ojczyzny i bogów. Gdyby Ransdorf w chwili rozstania zapragnął wziąć ją ze sobą, porzuciłaby dom i ojca i bogów i ziemię rodzinną i poszła z ukochanym na kraj świata, do obcej ziemi i do obcych ludzi.

Lecz Krzyżak sam się oddalił — i oto widzimy Eglę na zamku „smutną, milczącą i bladą...” cierpienie, tęsknota, które toczyły jej serce, zamknęła w głębi swej piersi, nie dozwoliła jękwowi żadnemu wyrwać się z jej łona przy ludziach, i tylko śmiertelna bladeść jej lica mówiła o cierpieniu wewnętrznym. Lecz oto zemsta zagniewanego bóstwa nie daje na się czekać długo: Poklus odkrywa swojej wróżbiarce tajemnicę ucieczki Krzyżaka i żąda w zamian za ocaloną ofiarę krwi i życia Egle; ojciec objawia córce stra-

szny wyrok i jako mężny i pobożny Litwin nie cofnie się przed spełnieniem wyroku. I oto widzimy nieszczęśliwą Eglę w więzieniu, w przeddzień jej kaźni. Tam — pod murami zamku — przeciągają coraz nowe hufy Krzyżaków, szturmujących do zamku; tam błyszczą po nadnieńskiej równinie złote krzyże i wieją chorągwie z obrazem Najświętszej Panny... Przez kraty więziennego okna widzi je Egle — i sprzeczne uczucia targają niemiłosiernie jej serce; chciałaby przeklinać Krzyżaków — „a jednak się modli...” Krzyż błyskający ku niej z nadnieńskiej błoni zdaje się jej tak miłosierny i litosny!... Zwraca się doń z gorącą modlitwą, by on ocalił ją, wyrwał z tego więzienia, by oddał ją Ransdorfowi, z którym ona ucieknie nad morze „w kraj niemiecki, pod Chrystusa władzę...” opuści swego ojca, zdradzi swoje bogi... Lecz czy to pragnienie i ta ufnosć w pomoc krzyża pochodzi rzeczywiście z wiary w Boga chrześcijańskiego?... Czy może dusza poganki pod wpływem krzyżyka, darowanego jej przez Ransdorfa, pod wpływem serdecznego cierpienia napełnia się laską chrześcijańskiej wiary?... Czy poganka z przekonania i z miłości gotowa zostać neofitką?... Na wszystkie powyższe pytania wypada odpowiedź przecząca: Egle dla tego jedynie zwraca się na chwilę z modlitwą do Boga chrześcijańskiego, że nie ma już nadziei przebłagać bogów litewskich, którzy są nazbyt okrutni... dla tego wreszcie, że Chrystus jest Bogiem Ransdorfa... Zresztą te uczucia trwają w jej duszy niedługo: budzą się w jej sercu wyrzuty za zdradzone bogi ojczyste, za chęć opuszczenia ojca i ojczyzny, żałuje chwilowej modlitwy do obcego Boga, przyzywa pioruny bogów Litwy, aby „zadały cios jej głowie i wypaliły z jej serca uczucia zbrodnicze,” w końcu woła rozpaczliwie: „Ransdorfie! tyś wróg Litwy! — giń w jednej godzinie!... Lecz w tejże chwili woła: „O nie! raczej niech Egle, niechaj Litwa zginie!...” W tych wyrazach już otwarcie wykazuje się, o ile miłość ku Krzyżakowi przewyższała w sercu Egle miłość jej ku ojczyźnie i bogom. W końcu zwraca się ku tym bogom, którzy są potężniejsi, i tych błaga o ocalenie, a przeklina wyzutych ze wszelkiej litości.

„Tak złamana rozpacz nieszczęsna dziewczyna Modli się, błogosławi, zlorzeczy, przeklina, To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona, Aż na surową ziemię upadła zemdlona.”

Tymczasem po bezskutecznym ze strony Krzyżaków ataku do twierdzy, Ransdorf, dowiedziawszy się o uwięzieniu Egli, postanawia ją wyrwać z rąk oprawców, chociażby zdradą i złamaniem danej przysięgi; wieź więc hufiec zbrojny znajomem sobie podziemiem i opanowawszy zamek, przebiega lochy więzienne, szukając Egle; znajduje ją wreszcie, — ale w jakimże stanie:

„Ona z piętnem boleści na wybladłej twarzy Siedziała w głębi lochu; — coś głęboko marzy. Promień słońca ukradkiem jej oblicze złoci; Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci, Schmurniało piękne czoło, powisła jej głowa, A na jej ustach bladeść spoczęła grobowa, Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka, Gdyby nie iskra życia, co strzela z jej oka.”

Z tej nieruchomości zamyslenia wyrwa ją dopiero hałas wyrzuconych z zawiasów drzwi więziennych: podnosi oczy — i spostrzega przed sobą Ransdorfa. Młody Krzyżak klęka przed dziewczycą, wyznaje swoją miłość, oznajmia pożar zamku i błaga, by nie tracąc chwili szła za nim, a on ją wyprowadzi ze zgliszcza i ruiny i zawieździe do swojego kraju — jako żonę. Chciał już schwyć ciężar na ręce — „ale córka Margiera łagodna i cicha, skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha...” a ten wzrok błękitnych oczu taką ma dziwną siłę, że młody Krzyżak cofnął się, jakby odparty ramieniem rycerza, — a ona odrywa się do niego w te słowa:

„Stój, dziki zuchwalcze!  
Kto ci mówił, że słaba? że siebie niezwalczę?  
Co znaczą mego domu gorejące ściany?  
W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbrzy-  
[zganym!..“

Tu wyznaje przed nim, że niedawno jeszcze pieściła serce myślą najśłodsza, że wraz z nim spędzi życie w obcej ziemi, porzuciwszy tu swego ojca, i wyrzekłszy się swych bogów i braci. Lecz dziś zdrada jego, te zgłiszczą i ta krew jej braci przez niego przelana, rozdzielają już ich na wieki...

„Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,  
Wniosłeś do mojej strzechy i miecz i pożogę,  
Dzisiaj Litwa chce ofiar—cofnąć się nie może.  
Moja powinność umrzeć w ofiarnej postaci  
Obok mojego ojca, obok moich braci.  
Weź ten krzyż... mnie niewolno nosić go na łonie...  
Egle ze swemi bóstwy w jednym stosie spłonie...“

Wysiłek ten woli wyczerpuje słabe ciało—i Egle pada zemdlona. Ransdorf chwytając ją na ręce i nieczułą wyciąga z podziemia, przebiega z nią przez błonia nadniemeńską i składa nawpół martwą do łodzi. W tej chwili ocknęła się Egle i widząc, że ją przemocą uwożą, że jej bronią umrzeć razem z ginącymi braćmi, zrywa się z przeraźliwym okrzykiem boleści:

„Puszczajcie mnie do ojca! ja zginę z nim razem!  
Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,  
Jak wszyscy bracia moi, jako siostry mojej!..“

To były ostatnie słowa z ust Egli. Zemdlona znów osunęła się na dno łodzi, która odbijała szybko na głębinę... a w kilka chwil potem strzała ojca, który ujrawszy zdaleka łódź na Niemnie, sądził, że jego córka dobrowolnie ucieka z Krzyżakiem, śmiertelnie się wpiła w serce Egli...

Przeprowadziliśmy może zanadto szczegółową analizę duszy i serca córki Margiera, bo też jest to jedna z najszerzej skreślonych kreacji niewieścich Syrokomli. Chodziło nam o ocenienie wartości moralnej tego charakteru, o wyświetlenie kwestyi, o ile ta postać dziewczęca zasługuje na nadane jej przez autora miano „bohaterki“ w podniosłem tego słowa znaczeniu. Wynik analizy naszej okazał się ujemny: ani podniosłością uczuć, ani hartem charakteru nie zasługuje Egle na zaszczytne miano bohaterki. Przy zetknięciu się uczuć wyższych, jakimi są uczucia religijne, miłość rodzinna i przywiązanie do ojczyznej ziemi, z niższem uczuciem miłości ku Krzyżakowi, to ostatnie uczucie zwycięża w jej sercu uczucia podnioslejsze tak dalece, że pod jego wpływem księżniczka gotowa się niemal cofnąć przed najświętszą ofiarą krwi, jakiej wymaga od niej dobro ojczyzny. Egle dopiero wtedy odtrąca Krzyżaka, gdy już postawioną widzi między sobą a nim nieprzebytą zaporę, jaką jest krew jej braci, ciekąca z miecza Ransdorfa i zgłiszcząca spalonego przezeń zdradą zamku. Ale owo spóźnione odtrącenie i pragnienie uczynienia z siebie dobrowolnej ofiary, nie jest już zasługą z jej strony, ani podnosi ją na wyższy szczebel etyczny, nie mogła już bowiem wówczas postąpić inaczej, gdyż chyba jedynie potwór moralny—nie człowiek—mógłby się rzucić w ramiona wroga, broczącego świeżą krwią jej rodziny i domu. Tyle o moralnej wartości tej postaci. Co się zaś tyczy prawdziwości historycznej typu, o tej w obec wyraźnego zastrzeżenia się we wstępie ze strony poety, że kreślił nie Litwinów, lecz „ludzi w ogóle,“ mówić nie będziemy; zresztą w paru miejscach poematu, gdy odskok od historycznej prawdy charakteru wydawał się nam zanadto widoczny, zwracaliśmy na to uwagę łaskawych czytelników.

Jako postać drugoplanowa, nakreślona więcej sylwetkowo, występuje przed nami zgrzybiała, koścista wróżbiarka Marti. Jest coś przerażającego, a zarazem wstrętnego w tej postaci: zeschła, żółta, trupiego koloru skóra obciąga jej twarz kościstą i chudą; wygryzione przez dym ogniska świętego źrenice dziko się błyszczą,

w ciemności lochów; ręka jej, która się wyciąga coraz ku ognisku, jest „sucha jak trupia, jakby szkielet z kości, opalona od ognia, drżąca ze starości; głos jej dziki jest i bezdźwięczny — jako krzyk puszczyka. Od lat sześćdziesięciu pełni służbę ofiarniczkę i wyroczeni przy ołtarzu Poklusa. Przyszła tu niegdyś jako młode dziewczę — „jak róża w rozkwicie,“ tu rozkwitła, kraśniała, tu zwiędła jej uroda; tu dym święcony wyżył blask pięknego oka, tu zdziczał dzwięczny niegdyś głos dziewiczy.

„Tutaj wszystkie uczucia, czem dusza bogata,  
Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,  
Wszystko, czem żyje głowa, czem serce się żarzy,  
Marti oddała bogom—a do ich ołtarzy  
Przyrosła jak kolumna...“

Wzamian za ofiarę jej ze szczęścia i życia świeckiego, bogi udarowały ją darem prorocstwa, odkryły jej oczy na rzeczy niewidzialne od ludzi. Lecz nie wiosny, nie miłości ani dobroci bóstwa biorą od niej ofiary: służy ona jednemu tylko bóstwu piekielnemu, groźnemu Poklusowi—i tego jedynie ma w swem sercu; ztąd lubi wróżbiarka jeno ciemne dymy przy Zniczu, pieści tylko jaszczurki i gady podziemne, jeno podziemne bóstwa rada przywołuje, a każda pieśń, jaka z jej ust wychodzi, złowrogą jest i straszliwą, jakby wycie puhacza, co zwiastuje śmierć albo nieszczęście. Widzimy ją podwakroć w głębi podziemnego lochu, przynoszącą ofiary Poklusowi i wróżącą z natchnienia piekielnego bóstwa. Oto jak ją maluje poeta:

„A nad wszystkimi wrzaski, nad wszystkie roz-  
[gwały  
Przemaga krzyk natchniony czarodziejki starej,  
Na oczach ociemniałych błyszczą wyraz wściekły,  
Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;  
Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,  
Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.“

Umyślnie podkreślamy te wyrazy, które mi poeta stara się nadać czarownicy pozór jak najbardziej ohydny i wstrętny. Następnie, pragnąc wywołać widomie bożka piekieł, Marti *padła pierśmi na ziemię i w prochu się tarza...* Wyzwany zaklęciem bożek zjawia się w dymie ogniska — straszliwy, — zwolna znika, a wróżka z twarzą pobladłą, *posiniałą, jakby konającą,* zwraca się ku ludowi i objawia, że Poklus pragnie krwi na ofiarę. Zresztą — ilekroć razy występuje Marti na widownię poematu, ilekroć wieszczę lub wolę bóstwa objawia — tylekroć razy słyszymy z jej ust wyroki okrutne, tyle razy krew niewinnych ofiar sączy się przed nami: tak — widzimy ją po raz pierwszy zwiastującą gniew bóstwa, po raz wtóry—gdy żąda dla bożka krwi Krzyżaka, następnie wymaga krwi córki księżcej. Po raz ostatni widzimy ją po zdobyciu przez Krzyżaków zamku, gdy wychodzi „*jak upiór*“ z lochu z bogami swojemi, a zagasiwszy Znicz „*z wysileniem ducha*“ ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha — na stosie, na którym w dobrowolnej ofierze mają spłonąć niedobitki Litwinów... W końcu widzimy ją przy istnie katowskim zajęciu: Marti *strasznym* toporem *w pierś* Litwinów *grzmocę,*

Pod ofiarnem żelazem ściele się gromada,  
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa...  
... ze stosu płonącego drzewa  
Ostatnią dla nich *pieśnią pogrzebową* śpiewa,  
Polecą swoim bogom dusze tych, co płoną,  
I *wywiją* w powietrzu *siekierą* święconą...“

Wreszcie „wśród gorejących płomieni skonała...“

Kreśląc postać demoniczną Marti, miał zapewne poeta zamiar stworzyć kreację w rodzaju wieśniaków Szekspirowskich z Makbetha, albo starożytną Pythę z oraculum delfickiego, stworzył jednak postać stokróż jaskrawszą w swej okropności, okrucieństwie i ohydzie. Pozbawiona uczuć ludzkich, Marti—obok zgrozy—przej-

muje nas moralnym i fizycznym wstrętem ku sobie. Nie sądzę, aby takie nadużycie przez poetę pierwiastków brzydoty i ohydy mogło spotęgować wrażenie artystyczne w czytelniku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## EKLOGA.

Posepny całun jesieni  
Milczące wdzwiewają wzgórza;  
W pustym ogrodzie umiera  
Ostatnia róża.

Na martwych skrzydłach motyla  
Słoneczne farby się starły;  
Na zimnym wrzosie spoczywa  
Słowik umarły.

Drżą jeszcze gaje sąsiednie  
Echami słowiczej pieśni;  
Tak, jak to życie słowika,  
Wszystko się prześni.

Jesień w całunie posepnym  
Na ciche wstępuje wzgórze;  
A u mnie, w myśli, i w sercu,  
Słońce i różę.

30 Listopada 1898.

„Leon Płoszowski.“

Kazimierz Gliński.

## KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

V.

Miły gość.

Jesień nie sprzeniewierzyła się tradycji, słoneczna była i wiosennie ciepła. Wysoko, w błękitach unosiły się srebrne nici babiego lata, opłatywały krzewy i drzewa, na polach i niwach się kładły, tworząc jakąś sieć olbrzymią, z lśniącego zrobioną jedwabiu.

Bogatą w malarskie pomysły jest jesień: zielone jeszcze liście drzew złoci od brzegów i obrębca czerwienią. Królewski to strój: złoto i purpura—to też klomby i zagajniki i wstęgi lasów stoją w przepychu szat swoich pod promieniami jesiennego słońca. Ze świata ptaszcęcego najgłośniej cieszą się wróble; pełno ich na dachu i przed domem, pierzchają nagle i powracają po chwili, po to tylko, by znowu pierzchnąć i wrócić. A co gwaru, szczebiotu i przypomnień miłosnych pokus wiosny!..

Po ośmiu dniach ciepła i słońca, jeśli się gospodarze do ukończenia rozpoczętych robót w polu. Ruszyły pługi, ostre lemiesz zagłębiły się w pierś ziemi.

— A het—k'sobil—wśród czarnych odezwało się łanów.

Od świtu do nocy pan Hipolit był w polu. Czubiński pilnował robocizny na toku, a on objędział obszary swoje i do Piasków dobiegał, by

i tam nie zasypiać sprawy. Ale Sawran, pamiętny wizyty pańskiej nie zasypiał już gruszek w popiele.

— W porządku, proszę łaskawego pana, — u mnie tak zawsze... Fitl i jest! a jak nie — to w morde i cyremonja skończona, — chwalił się, skorzystawszy z nauki pana Hipolita, choć ta nie przekraczała granicy grubego karku karbowego.

W pierwszych dniach Października elegancki powóz zatoczył się przed ganek mieszkania pani Karoliny. Hipolit siedział w oknie swojego pokoju nad rachunkami, gdy trzykrotny trzask z bicza oznajmił przybycie gościa. Pokój, właściwie gabinet Grudowskiego, był przybudówką, zrobioną w późniejszych już czasach, i pod kątem prostym ku środkowi dziedzińca wybiegał. Stojący więc w oknie pan Hipolit mógł doskonale widzieć, co się działo przy drugim ganku. Naprzód wybiegła Maryanna, później Franka, a za niemi przyspieszonym krokiem wyszła pani Karolina i wyciągnawszy ramiona, przycisnęła do piersi swojej mężczyznę, który wysiadł przed chwilą z powozu.

— Henryk, — szepnął pan Hipolit.

Oparł się o futrynę okna i patrzył.

Pani Karolina nie wypuszczała z uścisków miłego gościa. Całowała go w czole, oczy, usta, obejmowała szyję, obiema dłońmi gładziła pieśczołliwie po twarzy.

Pan Hipolit spoehmurniał.

On tak witany nigdy nie był, nigdy, podobnych nie doznawał uścisków.

Dziwnym bólem skurczyło mu się serce, powilgotniało w oczach, — a jednak stał i patrzył. I dość mu było poruszyć ręką, malutką szczelinę w oknie zrobić, ażeby posłyszeć głos powitań, słowa miłości szczerzej. Lecz dość mu było tych niemych ruchów, mówiących może więcej, niż słowa.

Po chwili Henryk i Pani Karolina udali się do wnętrza domu, zostały tylko Maryanna i Franka, mizdrząca się do stangreta, lecz przez okno zawołała ją Grudowska. Skoczyła i wnet znów się pojawiła, wynosząc furmanowi kieliszek wódki.

Po upływie kilku minut wyszedł na ganek pan Henryk, wydał jakiś rozkaz odjeżdżającemu woźnicy, a spostrzegłszy krygującą się przed sobą pannę Maryannę, uśmiechnął się do niej. Maryanna dygnęła, — Henryk, uśmiechając się wciąż, figlarnie spojrział na nią i coś szepnąć musiał, bo dyszkantowym zaśmiała się śmiechem. Pan Henryk nachylił się, coś jeszcze powiedział, i gdy panna Maryanna spuściła oczy, zażenowana niby — uszczypnął ją w tłusty podbródek i wybiegł z ganku. Po chwili pusto było i cicho znów na dziedzińcu, tylko myśl pana Hipolita przeniosła się do wnętrza mieszkania matki i podsuwała dalsze obrazy pieśczoł, radości i powitań.

Nie szły mu już rachunki, mylił się i gmatwał w najprostszych arytmetycznych kombinacjach.

Niespodziewając się zbyt prędkiej u siebie wizyty brata, wyszedł znów obejrzeć gospodarstwo. W bramie spotkał żydka, który jakies pudło w rękę trzymał.

— A — Judka! — zawołał pan Hipolit.

— Niech jasnemu panu zdrowie służy, — odpowiedział z pokornym ukłonem Judka.

— Pewnie zegarek mi przynosisz. Naprawiony?

— Nu, ale co ja się z nim miał, to niech Pan Bóg bronil!

— I dobrze idzie?

— Aj waj! teraz i skrzywienia nima i kukawka pokazuje się cała.

— I kuka? — zapytał pan Hipolit.

— Jak ziwa!

Zawieszenie pocziwego zegara w lepszy nieco humor wprawiło pana Hipolita.

Wieczorem wpadł Henryk i serdecznie przywitał brata.

— I kiedy — żeś przyjechał? — spytał Hipolit.

— Dzisiaj — z dworca kolejowego prosto do was. Zanocuję u ciebie, bo do Grudowa mi nie śpieszno, a nie chcę mamie kłopotu sobą robić,

choć pocziwe mateczysko gotowe mi własne łóżko odstąpić. Cóż ty — pracujesz zawsze?

— Jak widzisz, — odpowiedział Hipolit.

— Aleś zczerniał! — wykrzyknął Henryk.

— Ba! praca nie bieli — —

— No, rozgadamy się jeszcze, — teraz jestem do ciebie w posły wysłany. Mama z wieczorą czeka.

— Zaraz — przebiore się tylko — — —

Po kilku minutach siedzieli przy jadalnym stole pani Karoliny.

Mówiono o rzeczach bardzo obojętnych, nie wspominając nic o małżeńskich zamiarach pana Henryka. Widocznie, że już o tem nagadano się dostatecznie podczas nieobecności starszego brata, teraz przeskakiwano z przedmiotu na przedmiot, mówiono trochę o stosunkach sąsiedzkich, o kłopotach gospodarskich, o spodziewanych dochodach na rok przyszyły z Grudowa i Dziadyszek, Henryk nawet wspominał o konieczności wyrębu znacznej części lasu, bo chwilowo wydatki się zwiększą, a tymczasem niewielki już dług zaciągnąć musiał.

Pana Hipolita zdziwiło to.

W ciągu tylu lat, gdy on na swoich Górkach i Piaskach pracował, borykając się z glebą, zabierającą wszystko, a nic nie dającą — urodzajna ziemia majątków pana Henryka złote ziarno sypała, a i zbiór pierwszego roku sporą mu dał gotowiznę, gdy on z konieczności dziedzictwo swoje zadłużył: teraz piękne lasy Grudowskie rok rocznie coraz większemi świecą łysinami, a łysiny Górek i Piasków zarastają bujną latoroślą. Pan Henryk wspomina o konieczności zaciągnięcia długu, gdy on z bark swych ostatni ciężar spycha.

Zdziwił się, lecz słowa nie rzekł, ukośne tylko rzucając na brata spojrzenie.

Pani Karolina, która nie spuszczała oczu z Henryka, śląc ku niemu uśmiechy zaślepionej miłości mateczynej, kiedy niekiedy przenosiła wzrok na starszego syna, jakby ich obu porównywała w myśli. Pan Henryk, ubrany w żakiet krótki, świecił koszulą nieposzlakowanej białości, miał kołnierz stojący z lekka wygiętymi rogami, a piękny krawat zdobila szpilka brylantowa; gospodarski strój pana Hipolita nie odznaczał się wcale wykintem, na szwach był wyszarzany, a krojem przypominał jakąś kurtkę kozacką, koszulę miał o wykładanym kołnierzu, tu i tam wystrzępionym przy szyi, a nieumiejętnie związana wstążka krawata tworzyła węzeł podsuwający się wciąż do góry.

Pan Henryk był dorodnym mężczyzną w całym znaczeniu tego wyrazu, co mu dodawało pewności siebie, jakiej brakło, mało myślącemu o sobie, Hipolitowi. Siedział rozparty, gistrykując śmiało, lub dłonią miękkie faworyty gładząc, podczas, gdy Hipolit siedział nieruchomy prawie, a wąsy opuszczone ku dołowi, twarz ogorzała, ręce zgrubiałe i oczy zmęczone od bezsenności, przy pochyłej lekko postawie, nadawały mu wygląd ekonomy, który z łaski tylko został przypuszczony do pańskiego stołu.

Wieczera się przeciągała, bo na przyjęcie ulubionego syna był występ nie mały. Zmieniano dania, podawano owoce i sery. Pojawiła się i omszona butelka starego węgryna, którą przed kilkunastu dniami pan Hipolit matkę obdarzył.

Nakryciem stołu zarządzała panna Maryanna.

Przez zapomnienie czy z rozmysłu, co prawdopodobniejszem było, stawiając cenną butelkę, dwa tylko podała kieliszki: pani Karolinie i Henrykowi. Grudowska naląła sobie i ukochanemu synowi, już miała zamiar butelkę postawić, gdy spostrzegła, że przed Hipolitem kieliszka nie było.

— Maryanno, — podaj kielich! — — — zwróciła się do pokojówki.

Maryanna wykreśliła się na pięcie, otworzyła szafę, wysunęła szufladę kredensu, jakby szukała czegoś, wybiegła i przybiegła — tymczasem zapomniano o panu Hipolicie, stary napój spijając powoli. Na twarzy pokojówki złośliwy uśmiech znać było, coś, w rodzaju triumfu.

— Panno Maryanno — kielich! — — — odezwał się krótko ale dobitnie Hipolit.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz pani Karoliny, Maryanna zzieleniała ze złości, ale już wykreślić się od posługi nie mogła, bo głos i wzrok pana Hipolita były nazbyt stanowcze.

— A — zapomniałam zapytać, — odezwała się po chwili Grudowska... Zdaje się, że pan Ryba raczył przypomnieć sobie o nas.

— Tego uważasz? — zaśmiał się Henryk.

— Spotkałem go, coś, tak, przed tygodniem, do Piasków jadąc. Kazał mamie złożyć swoje najgłębsze uszanowanie i szczerze jej rączki ucałować.

— Mógłby to znacznie wcześniej zrobić, — odpowiedziała pani Karolina.

— Zapewne — ale, gdy odsunąłem się od Hajczyniec, trudno mu było, bywając u mamy, mnie ominąć. Mieszkamy przecie w jednym domu.

— Lecz stanowimy dwa domy, — dodała pani Januszowa z przyciskiem. — Ale mniejsza o to... coż dalej?

— Zostałem zaproszony na dzień Ś-tej Brygitty.

— I pojedziesz?

— Nie mogłem się wymówić... Zresztą, — ciągnął pan Hipolit, — nie chciałbym, ażeby pan Ryba pomyślał, że tak bardzo do serca wziął zerwanie z panną Matyldą. Co przeszło, to już nie wróci — —

— Kto wie? — zaśmiał się Henryk.

— Ja wiem o tem, braciszku! — westchnął Hipolit.

— Mniejsza zresztą, Matylda czy nie Matylda, — mówił Henryk, — lecz czemu ty się nie żenisz?

Pani Karolina poruszyła się niecierpliwie i znacząco spojrziała na mówiącego.

— Żenić się?... — jakby w zamyśleniu, półszepcem, odezwał się Hipolit. — Odwykłem od ludzi, — dodał po chwili — i... nie bardzo wierzę w serce kobiece, — dokończył cicho.

— Oo! — zaśmiał się znów Henryk. — Tak mówią ci, którzy dużo zawodów doznali w życiu i wielokrotnie źle umieszczali swoje uczucia. Czyżby tak ciebie rozczarował krótko trwały stosunek z panną Matyldą?... Rzecz to byłaby do naprawienia, szczególnie dzisiaj.

— Nie znasz mnie... Jestem trochę wymagający, — rzekł Hipolit. — Kochając — chciałbym być kochany. Pannę Matyldę — nie przeczę — lubiłem bardzo, była to jednak pół miłość, nie miłość cała. Z czasem mogłaby się i w taką zmienić, lecz spostrzegłem, że pan na ówczesnych Górkach i Piaskach nie miał prawa marzyć o pannie Rybiance. Dziś grana komedia nie rozczuliła mnie wcale, obrażona zaś trochę miłość własna nie pozwoli już dawnemu półmarzeniu powrócić.

— No — no, — rzucił Henryk. — Nieraz wypadki najwznioślejszym słowom przeczą.

— Henryku! — odezwała się z powagą Grudowska, — Hipolit ma słuszność!

To przyznanie słuszności Hipolitowi było tak dziwne w ustach pani Karoliny, że obaj synowie jednocześnie spojrzeli na matkę, nawet krążąca koło stołu Maryanna otworzyła dziób jak sroka, nie będąc pewną czy jej się nie przesłyszało.

— Cenię bardzo Hipolita za jego stanowczość i dumę, — ciągnęła pani Januszowa. — Ani panna Matylda, ani żadna inna kobieta serca jego już nie wruszy. Dość tej jednej próby, — byłby śmieszny, narażając się na drugą.

Hipolit miał oczy spuszczone, rozbierał w myśli zagmatwane słowa matki — pan Henryk nie rozumiał ich wcale. Zachichotała tylko cicho Maryanna, ale pani Karolina upomniała ją ostro.

— Nic nie rozumiem, mamo, — zaczął Henryk, — dla czego Hipolit...

— Wstańmy od stołu, — odezwała się pani Grudowska,

Drażliwa kwestya została przerwana w ten sposób.

Po półgodzinnej gawędce Hipolit zabrał brata do siebie, pani Januszowa udała się do swojej sypialni.

Rozbierała się powoli, w milczeniu przyjmując usługi pokojówki. Zgromiona Maryanna nie trapiła się tem wcale, wiedząc dobrze, że każde przykre słówko, zaraz wynagrodzone zostanie.

Kładąc się już do łóżka, gdy panna Maryanna po oddaniu dobranoc odchodzić miała, rzekła, niby od niechcenia:

— A! mam tam w szufladzie haft jakiś... Weź go sobie!

Pokojówka pocałowała panią w rękę, zapaliła w kącie pokoju lampkę nocną i wyszła cicho.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z AMERYKI.

Chicago, 5 Stycznia.

W całej Ameryce północnej odbył się szereg wspaniałych uroczystości „pokoju” przez zwolenników zaprowadzenia międzynarodowych sądów polubownych w miejsce krwawych, morderczych wojen. Opiszę wam, jak miasto nasze obchodziło tę uroczystość. Miasto Chicago przywdziało odświętną szatę i przybrało się w zieleń i chorągwie. W wigilię obchodu udzielono przybyłemu tu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Mac Kinleyowi honorowy stopień doktorski, a to w uznaniu zasług, jakie on oddał ojczyźnie podczas wojny z Hiszpanią. Wieczorem odbyła się iluminacja wraz z pochodem z chińskimi latarniami; ulice były elektrycznie oświetlone; domy ozdobione transparentami. Następnego dnia w południe miało miejsce zebranie w wielkiej sali Auditorium, przy olbrzymim udziale zaproszonych; prezydenta powitano entuzjastycznie; przemawiał ks. arcybiskup Ireland o potrzebie stałego pokoju. Generał Brocke, wiceadmirał Shley i generał Gorden byli przedmiotem serdecznych owacyj. Z uderzeniem g. 12-ej odezwały się armaty z Morro Castle, a nad pałacem rządowym rozwieszono olbrzymi sztandar gwiazdzisty. Muzyka zagrała hymn „The Star Spangled Banner,” a publiczność odsłoniła głowy i wzniosła entuzjastyczne okrzyki na cześć pokoju, poczem odśpiewano pieśni odpowiednie.

Pisałem już w poprzednich listach o wyborach, dziś chciałbym wspomnieć o kilku epizodach, jakie się w czasie walk wyborczych w naszym kraju rozegrały. W okolicach, zamieszkałych przez ludność murzyńską, przychodziło do krwawych starć między ludnością białą a czarną, i tak w miejscowości Wilington zabito 16 murzynów, a raniono ciężko lub lekko 27; białych raniono 3. W mieście zaprowadzono stan oblężenia i wszyscy czarni radcy miejscy złożyli urzędy i opuścili Wilington; murzynów rozbrojono. Sceny, jakie się rozgrywały w tych stronach, przypominają czasy Cezara w Rzymie. Także w Greenwood, gdzie ster miasta jest w rękach murzynów, nie obeszło się bez krwawych bójek; zabito 13 murzynów, a 8 białych raniono. Wojsko zaprowadziło porządek.

Jako ciekawą ilustrację tutejszych stosunków podam niektóre daty statystyczne. I tak: w r. 1897 mieliśmy aktorek 3,862, architektek 53 i (w r. 1870—1), malarek i rzeźbiarek 15,340 (w r. 1870—412), autorek i literatek 3,164 (w r. 1870—159), *clergy ladies* 1,522 (w r. 1870—67), dentystek 417 (24), inżynierek 201 (w r. 1870 inaczej) publicystek 1436 (w 1870 r. 25), adwokatów 471 (5), muzykantek 47,309 (w 1870 r. 5,700), urzędniczek 6,822 (417), lekarek 6,822 (527), dyrektorek teatrów 143 (100), kasyerek 43,071 (w r. 1870 żadnej, sekretarek, kopistek 92,824 (8,000) stenografek i zecerok 50,000 (w r. 1870 było ich 7). Widzimy z tego wykazu, że najbardziej wzrosła w przeciągu owego czasu liczba artystek pendzla i dłuta, muzykantek, urzędniczek, wprost zaś bajecznie: kasyerek, kopistek, stenografek i zecerok. Te zawody odpowiadały widocznie najwięcej zdolnościom i właściwościom kobiecym.

Ciekawą też statystykę profesji, obieranych przez nasze *ladies* wyczytałem w wydanym świeżo sprawozdaniu „Associatien of Collegiate Alu-

mnae.” związku dawnych uczennic wyższych żeńskich zakładów naukowych. Związek liczy 2,000 członków, a z tych 450 wymieniło swoje zawody, reszta zapewne po ukończeniu nauk zajęła miejsce przy ognisku domowym. Czwartą przeszło część z owej liczby 451 mianowicie 69 kobiet obrało zawód nauczycielski, 47 bibliotekarstwo, 28 stenografię, 14 pielęgnowanie chorych, 19 dziennikarstwo. Z pozostałych 1 poświęciła się astronomii, 1 zbiera ogłoszenia do gazet, 1 jest agentką towarzystwa ubezpieczeń, reszta pracuje przy poczcie, telegrafii, telefonii itd. Brak w tej statystyce kobiet lekarek, tworzących tak liczny zastęp w Stanach Zjednoczonych, tłumaczy się tem, że one tworzą osobne stowarzyszenia.

Co zaś do zapłaty, osiągniętej przez kobiety w rozmaitych zawodach, jest ona niezłą stosunkowo. Trzecia część owych 451 kobiet zarabia po 50 do 75 dolarów, jedna czwarta po 74—100 dolarów, jedna trzecia 100—200 dolarów miesięcznie, wreszcie dwie z nich pobierają po 300 dolarów (600 rb.) miesięcznie.

Na zakończenie poświęcę słów kilka nowo wybudowanemu u nas kościołowi pod wezwaniem Ś-go Jana Kantego. W niedzielę 11 z. m. odbyła się uroczystość poświęcenia tej okazałej świątyni. Na obchód przybyło wiele tysięcy Polaków.

Uroczystość rozpoczął ks. Matuszewski, który około dzwignięcia tego kościoła niemałe położył zasługi. Mówca zaznaczył, że to wielkie dzieło jest naszą chlubą i zwał wiernych, aby byli zawsze gorliwymi dla służby Bożej. O g. 4-ej po południu przybył ks. arcybiskup Ireland, przeprowadzony przez szpaler, utworzony przez 5,000 członków towarzystw polskich. Następnie, zwyczajem tutejszym, wszystkie towarzystwa przedefilowały przez nabitą wiernymi kościół, co zajęło godzinę czasu; poczem arcybiskup, otoczony licznym duchowieństwem poświęcił kościół i przemówił do zgromadzonych, w końcu udzielił im błogosławieństwa i pobłogosławił Najświętszym Sakramentem. W samym kościele, przedstawiającym się wspaniale, zebrało się około 10,000 wiernych. Łzy stanęły w oczach księżęcia kościoła, gdy z piersi tłumów wyrwały się potężne tony nieznaney mu pieśni: „Kto się w opiekę!”

Kościół zewnętrzną formą przypomina styl kościołów jezuickich, całość wygląda wspaniale, na szczególniejszą uwagę zasługuje ambona, wykonana w pracowni braci Wosiów. Świątynia jest dziełem architekta A. Druidinga, który potrafił połączyć piękną, zewnętrzną formę z duchem prawdziwie religijnym. Wrażenie uroczystości poświęcenia pozostanie na długo w pamięci uczestników tego pięknego, katolickiego obchodu.

B. Ch.

## PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

XXIX.

Dwór w Marszewie.

Wybiegłszy naprzód z temi szkicami biograficznymi, cofnąć się muszę, aby wniknąć w ściany domu rodzicielskiego i przemówić cokolwiek o mojej drobnej istocie.

Chowałam się pod dozorem guwernantek mniej więcej usposobionych obok *contessów*, to jest panien sędzianek Wierzchlejskich, Jasięrbic ojca mego i ich brata, pana sędzieza Józefa, co już wychodził na pensję prywatną do Berlina, gdzie miał się sposobić do akademii wojskowej, naj-

pierwszego instytutu krajowego, gdzie nawa książęta krwi i niedawno jeszcze panujący król holenderski, natenczas książę Oranii, pobierali nauki. Trudny był wstęp do tej wysokiej szkoły; ułatwił go hr. Fryderyk Skórczewski, szwagier mej macochy, a syn chrestny króla pruskiego Fryderyka II czyli Wielkiego — równie dla Józefa W., jak i dla brata mego Juliana, którego dla zbytnej młodości oddano tymczasem dla przygotowania do korpusu kadetów w Kaliszu.

Edukacja nasza domowa była ciągłą, ale nie systematyczną. Kapelan uczył religii, języka niemieckiego i łaciny, rachunków i historii krajowej, dopóki nie wrócił do Ołoboka, gdzie panny Cysterski wezwały go na rządzącą dobr swego klasztoru, którego był reguły. Zdątność i nadzwyczajna czynność tego kapłana usprawiedliwiała ten wybór.

Pani Bindemann, moja guwernantka, 60-letnia i otyła, lubiła z nim wchodzić, jak wszystkie Niemki, w dysputy religijne; te zwykle odbywały się pomiędzy nimi tak, żeby dzieci nie słuchały — zatem w chwili spaceru.

Na obszernem otoczeniu pałacowem, około kwiatowni, były w półkole cztery szpalery z świerków i grabiny z framugami, w których umieszczono kanapki brzozone i stoliki, sztucznie mchem wykładane i korą osową przyozdobione. Otóż tam poważni zasiadali nauczyciele, aby swoje przeprowadzać rozprawy.

Kucharz Maciej był w wolnych od kuchni chwilach dekoratorem ogrodu, a chociaż częstokroć przyozdobienie oddane fantazji jego miało minę pasztetu lub piramidy z ciast, to przecież, gdy się zastosował do wydanego rozporządzenia, wcale ładnie wykazał zadanie swoje. Tylko nie wyrachował trwałości swoich kanapek — na ciężar dwojga pedagogów.

Owóż jednego wieczora, kiedy dwie te osoby zasiadły na tej dwoistej katedrze, a zdania antagonistów najzwawszemi się stały, kiedy dogmata katolickie z herezyą augsbursko-ewangelicką naprzeciw sobie w całej potędze wiary z jednej — przekonania z drugiej stanęły strony... nagły łoskot, trzask, krzyk sprowadził używających przechadzki w stronę, gdzie rozdzileni sporem, złączeni katastrofą — spoczywali, nie zdołając wydzwignąć brzemienia ciała otyłych z krytycznego położenia! Gdyby to zjednoczenie wyznań tak nagłym dało się skutecznie przewrotem!...

Wychodzącym poza koło zwyczajnych mieszkańców wiejskiego siedliska, bo chociaż przybranym członkiem familijnym, różniący się od innych wiekiem, wiarą, usposobieniem i stanem był kapitan Chlebowski, ojczym mego ojca. Starzec ten 95-letni, niedawno utraciwszy władzę ciała, jeździł dotąd konno, wglądał w sprawy ekonomiczne obszernej majątności ojca mego, gdzie, dopóki babka żyła, oddzielny dom prowadzili. Teraz należący do ogólnego składu familii, miał mieszkanie w pustelni ogrodu; przy nim umieszczona była porządna i zwinna babka 70-letnia, która go sumiennie i dostatecznie pielęgnowała; usłużenie inne było na jej rozkazy.

Pan kapitan służył niegdyś w wojsku saskim, nosił w dni uroczyste mundur bogaty, haftowany, trzewiki, pończochy, westkę niżej bioder z baskinami, szpadę lśniącą fasetkami stalowemi, kapelusz stosowany z galonem, złożony płasko pod pachą. Miał wzrost wysoki, twarz ściana, czerstwą, ani jednego nie brakowało mu zęba i przynajmniej połowę włosów zachował, tylko mocno przypruszonych siwizną, sprowadzonych na tył głowy i umieszczonych w czarnym jedwabnym *harbeyllu*, był to sztywny prostokątny, płaski woreczek, w górze którego kształtem motyla figurowała tegoż koloru kokarda. Żaboty na piersiach, mankietki u ręką wykonankowane i zkarbowane uzupelniały ten mundur, któryby dziś na balu maskowym należał do ulubionych kostyumów *rococo*.

Kapitan posiadał jeszcze doskonały wzrok, słuch i 32 białych, okazałych zębów. Kiedy

wszedł do salonu napelnionego gośćmi, wszyscy miejsce mu robili; zwykle postawiono mu krzesło na środku pokoju, młodzież obchodziła go i przypatrywała się jako osobliwości, starsi jako uświęconej wiekiem żyjącej relikwii. Ale tu ciało jak i umysł nie ulegały zmianie, jedno nie traćło na sile, drugiego władze nie wzmagały się nigdy, więc też upadać nie miało co... a ojciec mój, kiedy poznał człowieka z ograniczonym rozumem, mawiał do nas: „powinszujecie mu długiego życia;“ zapewne kapitan Chl. miał na myśli, bo już znałam chwalebne wyjątki.

Nigdy on nie cierpiał pieniędzy, a kiedy mu oddano parę dukatów na drobne przyjemności, to posłał natychmiast po wino, częstował niem, dopóki tylko grosz czuł w sakiewce; sam był umiarkowany i zdawało się, że innego nad to nie zna użytku z gotówki. Czytał czasami bez okularów, ale tylko księgi pobożne, gazeta nawet nie zajmowała go.

Zdarzeniem nadzwyczajnym w pobliżkim miasteczku Pleszowie osiadł był chirurg wojskowy niejaki Bittner, służący niegdys w tymże samym co i kapitan regimencie. Wielka była radość. Alłści zachorował kapitan — przywołano chirurga. Pomoc lekarska szczerza i dzielna przywołała go od wrót tamtego świata... ale w największej słabości chodziło o przeprowadzenie chorego do drugiego pokoju. Wspierany z jednej strony przez 80-letniego chirurga, z drugiej przez 70-letnią Helkę, gdy potknąwszy się o próg, padając, pociągnął dwoje podeszłych przyjaciół; przeszło dwa wieki runęły z ich upadkiem. Katastrofa niemałej wagi!... Coby to dziś było (1849) gdyby nam zasłona dwóch wieków spadła i ukazała co po za niemi jest? Zaludnienie pustelni ogrodowej takimi odwiecznymi istotami było dość dobrym pomysłem mej przybranej matki, którą dla skrócenia ciągle szambelanową zwać będę.

Przepych domu, piękność ogrodu i zakładów roślinnych, uprzejmość szambelanostwa, a nade wszystko wdzięki, talenta i posag dwóch sędzierek, sprowadzały mnóstwo gości. Dom stał otworem przybywającym, bawiącym i konkurentom. Ale nie przedstawiała się dotąd żadna partya stosowna.

Rembowski nie odpowiadali ani dumie, ani rachubie szambelanowej; godzono przynajmniej na majątek milionowy, a godność hrabi była ostateczną mniejszością pod względem arystokracji. Panny były demokratkami. Cicha zagroda, piękny małżonek, wiele uczucia, porcyca rozumem dostateczna, aby się ocenić wzajemnie, dostateczną była dla ich widoków... Wychowane w zbytkach nie przewidywały, że w stanie tak uroczo skromnym zstąpić należy z urojen potężnych do pozycyi nader niedogodnej — kiedy przyjdzie zmaczać się i mrozić w zimie, parzyć przy kotlinie w porze letowej, dzwigać i dokonywać prac odrażających, o jakich ani mają wyobrażenia nasze demokratki kanapowe. Pomimo to, ani roztrzepany Franciszek, ani klasyczny Bonawentura R. nie znaleźli wcale drogi do serca tych umysłowo-wytwornych contessów, jakkolwiek sprzyjały im sposobności sąsiedztwa, przechadzek, kuligów, balu i uroczystości większych, wspólnych lekcji choreograficznych pana Teodora Rochackiego, uprzejmych względów guwernantek i panien służących, które sprzyjały każdemu młodzieńcowi dobrej miny i szczodrej dłoni, jakimi to przymioty torowała sobie ówczesna młodzież wstęp do panińskich pokoi, gdzie można było z większą śmiałością odegrać rolę St. Preux albo Lovelasa, aniżeli we wspólnej bawialni.

Nie mogę pominąć młodego sąsiada, pana T. i wykreślić z listy konkurentów panien W. Odznaczał się drobną postacią — szczupły i zwinny, na ruchomych ciągle nogach nosił niebiesko cieniowane w zygzaki pończochy jedwabne, trzewiki ostro na końcach zadarte z świecącymi sprzączkami; ubranie wyższe nóg było zielonkawe, frak cegląty, westka paliowa, żaboty, mankietki wykarbowane. Chustka około szyi grubo obłożona i w duży fontaż pod brodą zawiązana, twarz na białem pergaminowym tle purpurowa,

oczy niebieskie, nos cienki mocno zakrzywiony, pod nim usta ponsowe, często otwierające się śmiechem, który uwydatniały dość okazałe bardzo białe zęby — wieńczyły tę niepospolitą postać gęste, płomienisto-czerwone włosy, najstarszannie w górę zaczesane, aby naśladować najzgrabniejszego czubek, jaki miewają ptaki, tak nazwane dudki.

A cała ta ptasia figura, te ruchy niespokojne, ten jazgot nieposkromiony i mniej mówiący, jak świągot ptaków dla ludzkiego ucha, tak mocno przypominał tego wiosennego gościa lasów naszych, że mnie jeszcze dziś pusty śmiech bierze na jego wspomnienie. Jakże nie miał bawić tego roju młodzieży i wesołych panien?

Niespodzianki, któremi uczył czasem te piękne damy, były takiego rodzaju. Misternie wycięte ażurowe z papieru serca, nad którymi unosiły się gołąbki w parze dzióbkami połączone, kilka garncezków kamiennych, czyli fabryki Bunclowskiej — do śmietanki, związane wstążeczką zieloną, t. j. koloru nadziei, tłuste prosiatko na kuchnię etc., były to dary uprzejme, z których do rozpuku się śmiano. A lepiej jeszcze, kiedy z jarmarku Pleszowskiego przyjechał z tyłą paczek pierników, ile osób składała familia marszewska i jej bliżkie otoczenie; już też zjadając pierniki, cała rzesza piernikarza przewalała biednego T. z B., któremu nic się nie udawało.

Jakże byłam zdziwiona, kiedy niespodzianie to samo nazwisko, twarz i figura — dwadzieścia lat później — z grzecznym uklonem przede mną stanęły; już go powitać chciałam, ale nie dowierzałam sobie, włosy jego były ciemne i ciemny kolor sukni, mina poważna...

- Pani mnie nie poznajesz? Jestem T.
- Z Brzozowa? — zapytałam.
- Ten sam — była odpowiedź.
- Domyśliłam się tylko; pan mocno jesteś zmieniony.
- Pani dzieckiem byłaś!
- Pan młodzieńcem zakochanym!
- Oh! były to dobre czasy!
- Nie dla wszystkich! — pomyślałam — ale nie podniosłam rozmowy — upadła. Bo cóż było mówić z pniaczem, który ciągle pozwami i dekretami się cieszył; pniactwem z wsi wyszedł dziedziczny; pieniał dziedziców, od których dzierżawił.

Kasztelan Górzeński tymczasem owdowiał i ożenił się. Wybór jego padł, a raczej wciągnięto go w związek z panią Dąbrowską w Warszawie... słynną z elegancji, lekkości i zbytków Piękność już była na zawrocie, ale toaleta staranna i kosztowna, figura jeszcze dobra, nadała jej wiele poloru. Kasztelan wydzierżawił majątność pleszowską, ale miał w sąsiedztwie jej Chorzew, należący do jego rodziny.

Tam zarządzały dwie jego siostry, panny pułkownikówny Leokadya i Aniela G., średnio-wieczne postacie z wielką fryzurą, ogromnemi fałdami u spódnic wyfambelowanych — jakby dziś — zapuszczonym buffantem chustki gazowej pod same uszy sterczącymi, wychodzącymi z pod sukni dla osłonienia gorsu. Nosily na głowach toczki na znak, że rzekły się zamężciami... czas też był po temu — miały około lat 50, usta wklęsłe z niedostatku zębów, oczy zapadłe, puder okrywał włosy, więc o kolorze sądzić nie mogłam. Jednej suknia była biała kitajkowa, ze zółkłą od starości i tak zepstrzona muszankami, że się zdawało, iż to jest jaki wzorek maczkowy; druga miała błękitny kolor, wiele świeższy od wdzięków swej pani.

Tak mi się przedstawiały na ucztach, gdzie wproszono na moim ojcu, abym się znajdowała, bo dotąd tylko w domu rodzicielskim widywałam towarzystwo. Moja guwernantka, młoda i szpetna panna St. Martin, Berlinianka, więcej o sobie, jak o mnie troszczyła się. Miałam prawdziwą opiekunkę mojego dzieciństwa w Józii W., ubierała, przystrajała mnie, obdarzała łakociami... a ja się do niej przywiązywałam... ona mi była wzorem i kochałam ją z uniesieniem — ona

mnie dla fantazyi; może mnie i lubiła, ale wyżej ceniła interes własny, o czem sądzić natenczas nie zdołałam; czas i rozpoznanie boleśnie mi tę prawdę wykryły!... Jak to szczęśliwe jest złudzenie młodości! Przymioty tej młodej osoby ołsnily mnie, rozum i smak do literatury nadał popęd umysłowi mojemu, jej rozmowy oświecały mnie w późniejszym biegu życia, one tchnęły cnotą, wzniosłością, a na postępkę ślepą byłam, tak mi się zdawało niepodobnym, aby Józia miała wady! Wierzmy w młodości wieku doskonałościom, wstyd jest nie doskonalić się, kiedy udoskonalenie możliwem nam się zdaje. Jakże błędą owi, co potężnym władając piórem, cnotę, wzniosłość, dobroć tak smutnie, tak znikomo wysławiają i nie wskazują jej wynagrodzenia — jeżeli nie na ziemi? — niechże nam dadzą jej apoteozę!...

Oto przybyli w okolicę naszą kasztelanostwo — pomnożyli i ozdobili społeczeństwo wysoką elegancją warszawską, do ich grona należał książę Michał Radziwiłł — jego luba panna Ruszkiewicz, wsławiona piękność stolicy. Jej brat — połamały w kilka garbów z długimi cienkimi nogami i rękami, głową długą, twarzą bladą i wskrosz przeciągniętą. Mimo tej nieforemności fanfaron i w pretensyi. Pan Podkański, bładny elegant, nieodstępował od boku wabnej kasztelanowej. A jej mąż? Adonis, jak dawniej przywłaszczoną rolę kawalera servante panny Józefy odgrywał.

Książę Michał był przystojny blondyn i trochę nieruchomej postawy — miał rękę cudnie piękną i grał po mistrzowsku na fortepianie, tańczył jakby z niechcienia — szeptał wiele z panną R. ale obdzielił wszystkich uprzejmie tańcami i rozmową. Smakował w kompozycjach Teplera — zabierał jego polonezy i inne utwory do Warszawy, zapewne je szczerze wynagrodził, bo Tepler rachując na każdą bytność jego, rósł w chęci muzykalnej.

Jeszcze dotąd nie widziałam żadnego księcia, z wielkiem uszanowaniem powtarzano mi tytuł ów; miałam więc nie wyraźne ale wysokie wyobrażenie o Jaśnie Oświeconości. Zadziwiło mnie że książę pan ze mną tak małą panią, tańczący i do mnie przemawia; a nie wiedziałam, że to jest właściwie typ wysokiej arystokracji, bo gdy jej samej służyl przywilej obdarzenia czy łaskawością, — to nawzajem jej byt opromieniała — dlatego im więcej na zewnątrz wydana tembardziej jej urojoną pomnażała wartość... jak owe światła nocne, co przez odbicie na polerowanej blasze, w tysiączne się blaski rozpromieniają.

Ale jeżeli z jednej strony kasztelanostwo wprowadzili nam wytwór publiczności stolicy — to niemniej świetnie z zięciem szambelanowej wystąpił bogaty jego kuzyn, Jan Kasztelaniec, hrabia M. z Ślubie. Piękny i bogaty — wojażer i błyszczący przepychem, twórca cudnych zakładów i budowli zdobiących dobra jego a widokiem tychże rozległą okolicę przyległą stolicy. Co to za czasy były szczęśliwe dla młodzieży! Nie pytano, czem jest ten świetny pan M... sam z siebie?.. O! wtenczas ukazałaby się czczość umysłowa.... mówił wprawdzie wiele o swych podróżach, ale czy poznawał ludzi znakomitych z umiejętności? nauki? talentów? Gieniusze przewodniczące w obszarach filozofii, pięknej literatury poezyi? czy zbadał, na czem przemysł, handel, rolnictwo zasadzają się w obcych krajach? w czem ich położenie, środki i dążności różnią się lub zbliżają do naszych?...

Widziane na obrazie przedstawiane przez architekta lub dekoratora świątynie Izdy — i inne fantastyczne monumenta wykute z marmuru umieszcil w swych ogrodach dla efektu, dla swej chwaly. Najpierwsi ogrodnicy gustownie przekładali kląby, gaiki i utworzyli w perspektywie zewnętrzne widoki. Kanały osadzone najpiękniejszymi drzewami, przecinane wytwornymi mostami zdobią to urocze miejsce, którego kilka-dziesiąt rycin kosztem właściciela wybitych, powtarza, z różnych stron przedstawiając się widoki. Oko ołsnione jest tym przepychem ar-

chitektury i ogrodnictwa—ale myśli ogólnej szukać trudno tam—gdzie właściciel ratyfikuje projekta przez artystów podawane, sam ogólnego nie ułożywszy planu... A jeżeli tam gdzie dobry pomysł rzucony? to nie jego... On miał upodobanie i dumę, dochody na zapłacenie smaku i wykonania.

Cóż to było przedmiotem jego podróży?... Restauracje, winnice, teatra i konie. To było wiernym przedmiotem wypraw jego; wszystkich znajomych znudził swem opowiadaniem... a przecież ujęci uczciami wspaniałemi, które za powrotem do kraju często wydawał—nie opuszczali go, ale wyszukali zawsze nowozaciągniętych do tego sztanduru, coby z niecierpliwością słuchali nieskończonego powtarzania suchych opowiadań pana hrabiego.

Miał jeszcze jeden przedmiot, dla którego tak często wyjeżdżał za granicę... O! nie trwóćcie się—nie spiszek... nie masonerya... a cóż? Dowiemy się później. Przecież pan M był jednym z koryfeów stolicy, znany w kraju, pożądany w każdym społeczeństwie... Dziś, kiedy to piszę,—upłynęło lat 40—a młodzik, ukończywszy swoje klasy, popracowawszy trochę nad sobą i ukształcony w łonie społeczeństwa prowincjonalnego—z zadziwieniem spytałby się: „co jest tak cennego w tej świetnej osobistości?“ Rozśmiałyby się w głos, gdyby mu odpowiedziano: „To pan!“ A to był talizman, którego urokiem otoczony, mógł niegdyś być... niczem... i mieć szacunek.

Jakże tu przeczyć postępowi? Ludzie i dziś nie dochodzą wszyscy do wyższych szczebli nauk i umiejętności, do wspaniałych czynów... do władania opinią—ale dążności tam są skierowane—a jeżeli kto leniwy lub ociemniały, nie rusza z miejsca, to go ani mienie, ani okazałość, ani szumny rozgłos bez oddźwięku i harmonii z nicości nie wyprowadzi. Utrzymują wprawdzie z nim jeszcze stosunki i zachowują dlań niektóre względy... to w celu skierowania go w tor powszechny, albo też dumę jego i wystawność uważając za ślepe narzędzie wyższego popędu—zbierają się w gościnę i tam przez wzajemne udzielanie żywią płomień święty, który w każdym uczciwym sercu i światłym tleje umysłu... a tak do zera gospodarza przydając gości wysokie liczby—stawiają go w powszechnej rachubie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Kronika działalności kobiecej.

— W czasie bytności w Warszawie naszego znakomitego muzyka Antoniego Kątskiego, jedna z jego dawnych uczennic z przed lat kilkadziesiąt, doznała miłego i bardzo dla siebie pożytecznego z dawnym swym kierownikiem artystycznym spotkania. Przed 40-tu z górą laty kształcił on jej piękny talent muzyczny, a za można wówczas panienka, do której się życie uśmiechało, przykładała starań i pracy do wydoskonalenia swej gry fortepianowej. Losy zmien-

ne zmusiły ją później do trudnej i ciężkiej pracy jako nauczycielki muzyki, pracy, w której znalazła podporę dla swej rodziny, utrzymanie i pogodne zadowolenie ze spełnionego obowiązku. Dziś, już w wieku, kiedy byłby czas odpocząć—energiczna ta kobieta pracuje dalej po kilka godzin dziennie, nie narzeka na dalekie przestrzenie Warszawy, które przebywać musi i ma zawsze jeszcze na ustach inteligentne słowo zachęty do pracy wytrwałej dla młodszych od siebie. I naraz, zjawia się w mieście jej dawny mistrz muzyki, przy spotkaniu przypominają się sobie wzajemnie, a życzliwy i serdeczny artysta po tylu lat dziesiątkach, pisze na wielkim arkuszu papieru piękne świadectwo swej dawnej uczennicy, która już własną pracą zdobyła sobie duży zapas doświadczenia w pedagogii muzyki i wydała kilka bardzo wdzięcznych utworów muzycznych na fortepian. Dodać musimy, że ta uczennica Kątskiego p. M. Dzierżek, jest matką uzdolnionej malarki, o której pracowni (Jerzolimka Aleja Nr 70, I-sze p.), wspominaliśmy już w „Bluszczu“, a którą właśnie niedawno zwiedziła p. E. Orzeszkowa celem obejrzenia szkiców z życia i przyrody w Archangielsku.

— W roku 1900 odbędzie się w Paryżu kongres międzynarodowy mający na celu obronę praw kobiety i dziecka. Liczne głosy kobiet we Francji nawołują świat niewieści innych narodów do wzięcia udziału w tych naradach a dla ułatwienia sprawy, można znaleźć przedstawicielki we Francji dla grup obcokrajowych. Bliższych szczegółów udziela pani Marya Pognon, przewodnicząca w „Francuzkiej lidze dla praw kobiety“ (Paryż, rue Clement-Marot 7). W Paryżu mamy sporo inteligentnych rodaczek, które niewątpliwie stanowisko polskiej kobiety na tym kongresie ochotnie i umiejętnie zaznacza wśród międzynarodowego zjazdu.

— Przełożona słynnego „Women Institute“ Mrs. Wynford Phillipa, napisała i wydała świeżo w Londynie zajmującą książkę, która uczyniła bardzo duże wrażenie i powszechną zwróciła uwagę. Jest to rodzaj specjalnej encyklopedii dotyczącej pracy kobiet na polu przemysłu, handlu, sztuki i wszelkich zatrudnień jakim kobieta podołać może. Podobną książkę napisała równocześnie Amerykanka p. Irena Hart, a tytuł dziełka jest: „Jak można zarobić, choćby się było kobietą?“ Autorka przytacza cały szereg bardzo praktycznych przykładów, gdzie przy nakładzie, nie kapitału, lecz pracy i wytrwałości doszły kobiety do dobrobytu dla swoich rodzin i nawet dorobiły się znacznych fortun.

— Pani D-r Bl. Edwards-Pillet rozpocznie w Paryżu szereg odczytów w szkole dozoreczyń chorych przy szpitalu Lariodisière, oraz w Salpetière, słynnym zakładzie dla umysłowo cierpiących kobiet. Przedmiotem odczytów będą zagadnienia z medycyny, mianowicie zaś z fizjologii.

— Kobiety w Szwecji, pracujące przy telegrafach i telefonach, doczekały się od rządu zasłużonego wynagrodzenia, praca ta bowiem słusznie uznana została za przedwcześnie wyczerpującą siły. Zarząd telegrafów przeto odliczył 5 lat służby długoletnim pracowniczkom i o całe pięćdziesiąt przyspieszył im całkowitą emeryturę rządową.

— W mieście Kiel „Związek kształcenia się kobiet“ ogłosił od Października roku z. wykłady prawa. Coraz częściej podobne kursa się pojawiają, świadcząc wymownie o potrzebie dla

kobiety współczesnej bliższych i ściślejszych wiadomości z dziedziny prawnej. Są to jednak wszystko tylko kursa dorywcze, dla specjalnych grup niewieści dostępne. Jeśliby znajomość prawa miała istotnie szerszym warstwom kobiet stać się przystępną, to rusiałaby nauka prawa, a przynajmniej jego zasadnicze wiadomości stać się przedmiotem wykładów szkolnych w zakładach naukowych żeńskich, gdzie znalazłoby się na podobne lekcyespo miejsce po usunięciu niejednego balastu szumnego i bezcelowego a zapominanego w dalszym życiu uczennic.

— Związek kobiecy w Meiningen wydał swoim nakładem „Podręcznik do nauki“ w szkołach gotowania i gospodarstwa domowego przez Idę Merkel Książka napisana jest przez nauczycielkę takiejże szkoły i jako oparta na własnym i długim doświadczeniu, podaje bardzo wiele praktycznych wskazówek co do zakresu, metody i wyboru nauki w zakładach gospodarskich i szkołach kucharskich. Wartoby się z powyższą książką zapoznać osobom, które pomysłały o założeniu szkoły kucharek u nas.

— Pani Loeper-Houselle, redaktorka pisma „Nauczycielka“, miała w Kielu na prośbę tamtejszego „Związku kobiecego“ odczyt o „Wychowywaniu do pracy.“ Prelegentka zaznaczyła z wielkim ubolewaniem, że teorie Fröbla i Pestalozziego, mające na celu przyzwyczajanie nawet małych dzieci do pożytecznych zatrudnień, choćby już przy zabawie, a cóż dopiero później, tak mało dziś znajdują zastosowania w wychowaniu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 11-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

Nowi prenumeratorowie „Bluszczu“ na żądanie otrzymać mogą początek powieści pod tytułem:

*Adolf Ribbing,*

której druk w roku ubiegłym się rozpoczął.

**Treść:** Koniec z końcem, przez Szczęsną.—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym (dalszy ciąg).—Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg).—**Ekloga** przez „Leona Płoszowskiego.“—Kazimierz Gliński. **Krzywda.** Powieść (dalszy ciąg).—Z Ameryki. —Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—**Kronika działalności kobiecej.**

**Dodatek obejmuje:** *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 11-ty.—Przeгляд mód. 15 wzorów robót z opisem.—Sekret gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.



KORESPONDENCYA PARYZKA.

## Przegląd Mód.

Paryż, d. 31 Stycznia 1899 r.

Zwodnicza zima zbliżyła przygotowania do przyszłego sezonu wiosennego. Tutejsze wielkie magazyny zarzucone są obstalunkami wiosennych nowości, które w tej chwili najobfitszemi są w dziedzinie kostyumów spacerowych, sportowych, oraz okryć. Wiele osób wyjeżdża w tym czasie na południe, tualety, jakie panie zabierają z sobą, a także i kostyumy podróżne trzymane są w charakterze tualet i kostyumów wiosennych. Z tych ubrania spacerowe i podróżne, po większej części, z małą jedynie zmianą w przybraniu, nie odbiegają od genre-tailleur, czyli gustu angielskiego.

Jako materiały przeważnie używają sukno, szewioty, lub covert-coat. Do przybrania bierze się aksamit gładki lub w paski, bardzo też modnymi są taśmy i pasmantery. Na dni cieplejsze najczęściej przygotowują tualety z kaszmiru lub foulé. W fasonach, nawet w wyżej wspomnianych angielskich, duża panuje różnorodność. Kaftaniki wcięte, mniej wcięte, oddawna nie wychodzące z mody bolera, kamizelki, wyłogi rozmaitych fasonów i wymiarów, tak, że łatwo jest zastosować kostyum do każdego rodzaju postaci.

Kapelusze wiosenne zapowiadają się niezbyt duże, bardzo dystygowane, formą „marquis.“ W przybraniach także nie brak różnorodności, pióra i egretty bardzo są noszone, o ile jednakże pióra, noszone są przy kapeluszach spacerowych i wizytowych, o tyle nieużywane są do kapeluszy sportowych i podróżnych.

Obok kostyumów w guście angielskim, nader modnym fasonem w obecnym sezonie, jest fason princesse, oraz poloneza. Ta ostatnia bywa zapięta z boku, lub z przodu, a także w formie tiuniki przykrywa spodnią suknię.

Spódnice wciąż jeszcze w górze bardzo wąskie, w dole rozszerzają się znacznie. Ponieważ dużo spódnic wykończa się obecnie nie tylko na podszewce, lecz i na drugiej jedwabnej spódnicy, dla otrzymania więc większej szerokości u dołu, należy spódniczkę tę naszyć sutemi falbankami lub riuszami. Dodać tu należy praktyczną radę, że ponieważ przy obecnych arcy wąskich sukniach w górze, niepodobna jest umieścić kieszeni, można ją przeto wszyć w spódniczkę, opatrzywszy wierzchnią w odpowiednim miejscu rozporkiem, który zasłonięty może być patką, co nawet przy dodaniu kilku ładnych guzików służyć może jako przybranie.

Aczkolwiek paski z pięknymi klamrami, wciąż jeszcze utrzymują się w modzie, przy angielskich kostyumach zostają usunięte.

Jako przybranie sukien nie angielskich, używane bywają pliski z aksamitu, atlasu, aplikacje, frędzle, pailletki, przy otwartych zaś przodach, strojne szmizetki i krawaty. Rękawy zupełnie wąskie, przy ręku rozszerzają się kielichowato i nisko na rękę zachodzą.

Peleryny z materiału sukien ciągle jeszcze zakończone są kołnierzem Medicis, albo sutą riuszą. Białe riusze przestały być noszone.

Widziałam bardzo ładny kostyum z pelerynką z ciężkiego materiału wełnianego „cotelé“, w ciemno-szafirowym kolorze. Z boku zapięta, daleko jedną stroną na drugą zachodząca tiunika, oszyta była piękną frędzlą „marabou“, gładki stanik z wąskimi rękawami, przybrany szerokimi wyłogami, otwierał się na kamizelce z czarnego taffetas, ułożonego w drobne fałdki. Stanik obcisły w stanie, wąski czarny pasek, zapięty na pięknie cyzelowaną, złotą klamrę. Pelerynka, bardzo krótka, z tegoż samego co suknia materiału, z bardzo umiarkowanym, odstającym kołnierzem, oszyta była wokoło takąż frędzlą jak tiunika.

W wyborze fasonów, przybrań do paltocików, duża panuje swoboda, otwarte, zapięte, krótsze lub dłuższe, równie modne są zupełnie wcięte, jak i pół luźne, niektóre mają zapędy zaokrąglone, inne znów śpiczasto zakończone, kołnierze

wykładane aksamitne i klapy, albo też niezbyt duże kołnierzyki szalowe. Widzimy też na dwa rzędy zapięte do góry i zakończone gładkim kołnierzem stojącym.

Bardziej kapryśną i przechodnią nowością są paltociki otwarte mocno z przodu i oszyte wokoło okrągło krajaną falbaną. Falbana ta, silnie zwięża się przy przodach i dochodzi aż do kołnierza.

Długie płaszcze od deszczu, dawniej bardzo używane, dziś są prawie zarzucone i dla tego mało jest w tej dziedzinie nowości. Natomiast płaszcze od kurzu cieszyć się będą dużym zapotrzebowaniem i coraz nowe znajdujemy tu fasony i materiały.

Jako kapelusze przejściowe, dla osób, noszących kapelusze wiązane, polecają się najbardziej tiulowe kapotki. Przybranie ich: wstążki, pióra, egretty, kwiaty i moc pailletek, które na czarnym tiulu zawsze ładnie wyglądają. Jako wiosenny kapelusz zawsze eleganckim jest kapelusz z cienkiego filcu, skromnie wstążką przybrany. Nowością są również niskie cylindry, szare lub czarne, przybrane wokoło wieńcem piór strusich.

Coraz bardziej używane są do kostyumów spacerowych buciki z kolorowych materiałów, z czarnym lakierowanym okładem. Bardzo elegancko wyglądają buciki w kolorze odpowiednim do kostyumy, lub z tegoż, co suknia materiału.

Rękawiczki noszone są przeważnie duńskie, w kolorze żółtawym, to jest naturalnej skóry. L. S.

### Wiosenna tualeta z lekkiego sukna i aksamitu.

Rycina Nr 1. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—3).

Kostyum ten z sukna koloru jasno-beige, składa się ze spódnicy, naszytej na szwach przednich i wokoło 4 ctm. szeroką plisą z zielonego aksamitu, oraz ze stanika, otwartego z przodu, również przybranego aksamitem. Przybranie na staniku stanowią: krótkie, aksamitne, ostro zakończone wyłogi, oraz plisa aksamitna, obejmująca przody, na której przyszyte są fantazyjne guziki. Zamiast fantazyjnych, użyć można guzików perłowych, które zawsze najdystyngowanej wyglądają. Kamizelka z fałdowanego białego atlasu, wszyta jest w wysoki kołnier, suto garnirowany koronką i podwiązany długą krawatką.

### Suknia z kaszmiru dla młodych panien.

Rycina Nr 2. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 42—45).

Materiał: kaszmir w brudno-różowym kolorze. Spódnica gładka. Przody stanika wycięte od góry w dwa okrągłe zęby, rozchodzą się na kamizelce plisowanej z białego jedwabiu. Przybranie stanika stanowi naszyte z białej taśmy, oraz w małym odstępnie od tejsze, naszyte z czar-



Nr 1. Wiosenna tualeta z lekkiego sukna i aksamitu. (Krój pierw. strona tabl. Nr I, fig. 1—3).



Nr 2 Suknia z kaszmiru dla młodych panien (Krój pierw. str. tablicy Nr VI, fig. 42—45).

Nr 3. Suknia z aksamitnymi wyłogami. (Opis w Bl. Nr 4).



Nr 4. Paltot i kapelusz dla młodych osób. (Opis w Bl. Nr 4).

nej torsadki, tworzące w odstępach potrójne pętlice. Takież samo naszytce powtórzone jest na epoletach. Na pasek użyta jest biała wełniana pletnia.

#### Wiosenna tualeta z podwójną spódnicą i skośnie upiętym stanikiem.

Rycina Nr 5. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—29).

Strojna i bardzo dystygnowana tualeta, w modelu wykonana była z sukna koloru reséda i fiołkowego aksamitu w paski. Na spódnicy z aksamitu wierzch z sukna imituje spódnicę drugą, zachodzącą jedną stroną na drugą w górze, a szeroko otwartą u dołu. Stanik, z tyłu gładki, z przodu składa się z dwóch przodów, skośnie jeden na drugim upiętych. Przybranie wierzchniej, sukiennej spódnicy, oraz stanika, stanowi aplikacja z fiołkowego aksamitu, obwiedziona jedwabnym sznurem. Aplikacja zastąpioną być może pasmante-ryą, lub taśmą, dobraną do koloru su-

kna. Pasek zrobiony z aksamitu fiołkowego, zapięty jest na piękną, oksydowaną klamrę.

#### Ozdoba na ścianę. Malowanie i haft na gobelinowym płótnie.

Rycina Nr 10.

Coraz bardziej w modę wchodzą haftowane ozdoby na ścianę. Wskazana przez nas, w części malowana, w części haftowana na białym, gobelinowym płótnie, samym wymiarem (150 centim. dług., 35 ctm. wysok.), wskazuje, że najwłaściwszem dla niej umieszczeniem jest miejsce ponad, albo pod półką odpowiedniej długości. Malowidło na płótnie przedstawia gładką powierzchnię wody, zamkniętą z dwóch stron kawałkami ładu. Całość trzymana w tonie fioletowo-czerwonym, lecz niezbyt jaskrawym, niby zachodzącego słońca. Kilka białych łabędzi wznosi się do lotu. Na malowidle wykonanem specjalnemi, gobelinowemi farbami, pierwszoplanowe figury, t. j. irysy, trawy, dalej nieco, lilie wodne, w części obwodzi się, w części pokrywa, odpowiedniego koloru jedwabiami. Szeroka 3—4 ctm. rama, obciągnięta jest złocistą materyą, o wydatnych prążkach.

#### Serwetka na tacę z szydełkowym szlakiem.

Rycina Nr 11 i 15.

Kawałek pięknego płótna 25 ctm. długi, 15 ctm. szeroki, dzierga się wokół w ząbki, zakończone pętlicami. Po wydzierganiu płótno zostaje przy ząbkach i wewnątrz pętlic wy-

cięte i cienkim szydełkiem, kręconą bawełną Nr 40 przyczepia się szlak (patrz ryc. Nr 15), wykonany z bawełny białej i granatowej, lub białej i ponsowej.

#### Poduszka, ozdobiona haftem.

Rycina Nr 12 i 14. (Deseń pierwsza strona tablicy, fig. 65 i 66).

Długość 54, szerokość 32 centim. Odwrotna strona, oraz obramowanie z dubeltowego materiału 4 i 1/2 ctm. szer., z pluszu „olive“, wierzchnia strona z mory koloru „ivoir“ w pasy atlasowe blado-różowe. Morę pokrywa haft wskazany na fig. 65 i 66. Do wykonania haftu użyta jest pojedyncza nitka jedwabiu „filofos“ w kolorach: zielonym do cieniu, blado-niebieskim i brudno-różowym do cienia, z dodaniem złotego sznureczka i złotej, japońskiej nitki, dwójakiej grubości. Złota nitka służy do obwodzenia konturów większych figur, złotym zaś sznureczkiem obwodzi się girlandę raz z jednej, to znów z drugiej strony. Wązki szlaczek w środku i po brzegach poduszki, listki i kwiatki obwiedzione ma także złotą nitką. Poduszka ta może być użyta do zawieszania na fotelu, a w takim razie z 2-ch stron przyszywa się wstążka 75 centim. dług., 6 ctm. szeroka i z obydwóch stron zakończona kokardami. Wstążka winna być w kolorze pluszu.



Nr 5. Wiosenna tualeta z podwójną spódnicą i skośnie upiętym stanikiem. (Krój pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 25—29).

# Przepisy gospodarskie.

## Wafle.

(doskonale).

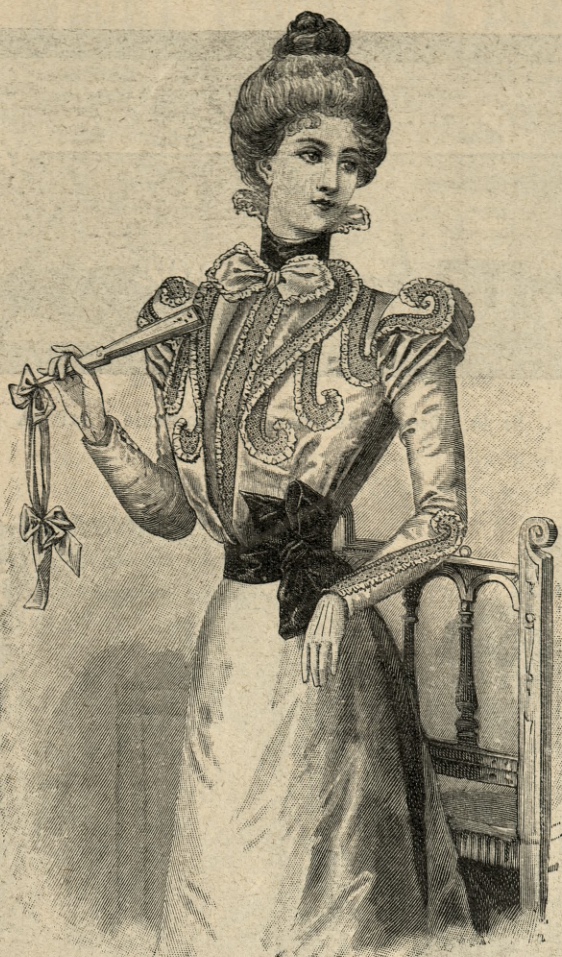
Pół kwarty kwaśnej śmietany ubić doskonale, wlać w to sześć ubitych żółtek, dodać sześć łyżek cukru, pół funta mąki, pół funta przetopionego i sklarowanego masła, szczyptę soli, pianę pozostałą od sześciu jaj, wybić to wszystko doskonale i piec zwykłym sposobem wafle w formie.

## Pularda à la Marengo.

Piękną, dużą, oczyszczoną pulardę, nasolić i upiec do połowy. Następnie włożyć ją do dużego rądla, podłożyć łyżkę masła, dolać pół szklanki madery, dwie łyżki przefasowanych pomidorów, pół łyżki pieczonej fasowanej cebuli, sos pozostały od upieczenia, trochę krajanych, duszonych w maśle pieczarek, kilka krajanych trufli. Rądel postawić na wolny ogień na godzinę. Po ugotowaniu, pulardę rozebrać, pokrajać, ułożyć na półmisku, obło-



Nr 6. Tualeta wizytowa z mory.  
(Opis w Bl. Nr 4).



Nr 7. Jedwabna bluzka do wizytowych tualiet.  
(Opis w Bl. Nr 4).

## Sukienka dla dziecka od roku do dwóch lat.

Rycina Nr 15. (Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 60—63).

Biała w kolorową kratę flanelka, lekki a ciepły stanowi materiał na dziecięcą sukienkę. Wskazana tutaj sukienka tem jest praktyczniejszą, że krój jej nader jest prosty, a jedynym przybraniem są wypustki z białego kaszmiru wokoło karczka i przy rękawkach.

## Kostium z paltocikiem, przybrany taśmą.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 6. (Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 4—12).

Materiał: szare sukno. Przybranie: czarna i biała taśma. Spódnica wzdłuż przodów do wysokości okrągło wykrajanej falbany, naszyta jest czarną i białą taśmą, tworzącą w odstępach bardzo zręczne figury, w rodzaju klamer. Paltocik, na szarej adamaszkowej podszewce, zapiętej na dwa rzędy perłowych guzików, naszyty jest również czarną i białą taśmą. Wysoki, odstający kołnierz, wyłożony jest karakułami.

## Suknia z łatwym do rozszerzenia stanikiem.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 6. (Krój pierw. str. tablicy Nr III, fig. 13—24).

Materiał: szafirowa wełna w czarny deseń. Przybranie: plisy z czarnego aksamitu. Spódnica z wysoką falbaną, naszyta jest trzema plisami, zwężającymi się ku górze. Stanik, przody podłożone ma wąską kamizelką, spiętą na szmuklerskie baryłeczki i kończącą się w górze szerokimi wyłogami z aksamitu. Pod kamizelką, stanik wypełniony jest szmizetką w rodzaju koszulki, z jedwabnej materii szafirowej w czarny deseń, tak, że przody stanika mogą być zapięte, lub zupełnie otwarte. Koszulka zakończona jest kołnierzkiem stojącym z gipiury i odpowiednią do niego krawatką. Rękawy, rozszerzające się przy ręku, naszyte są w podłuż aksamitnymi plisami. Stanik wokoło objęty aksamitną plisą.

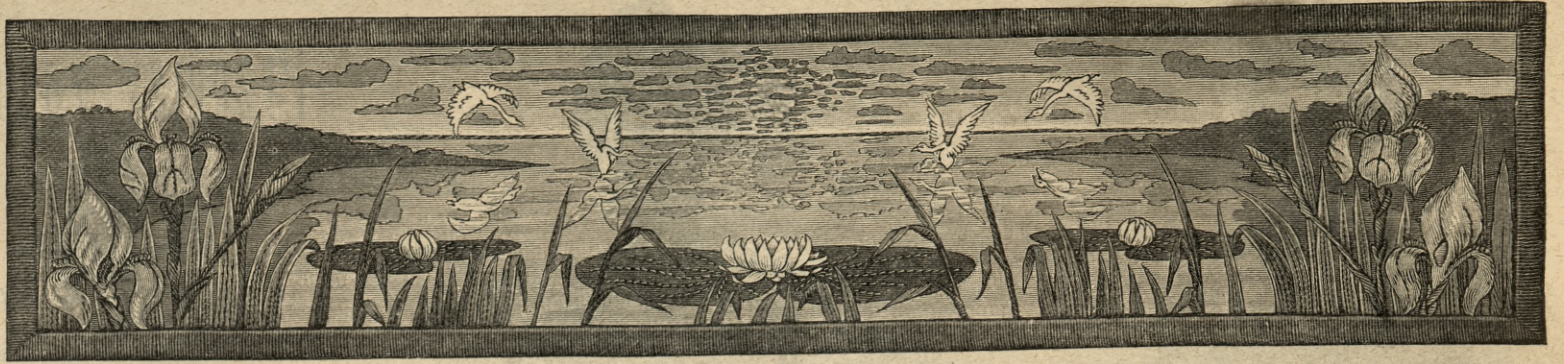


Nr 8. Tualeta balowa przybrana pasmanterją i futrzaniem obłożeniem. (Opis w Bl. Nr 4).

Nr 9. Tualeta balowa z taffetas i gazy, dla młodych osób. (Opis w Bl. Nr 4).



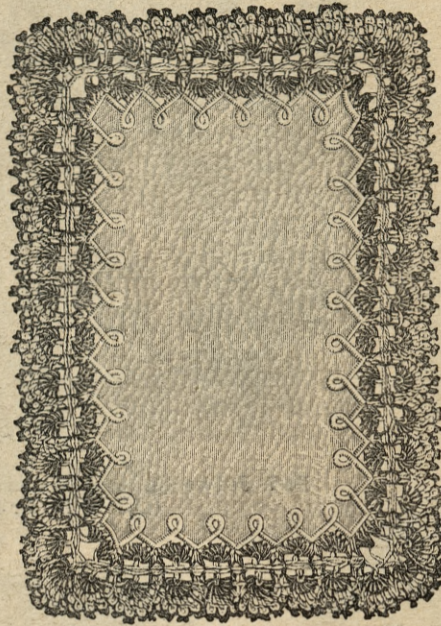
C. T.



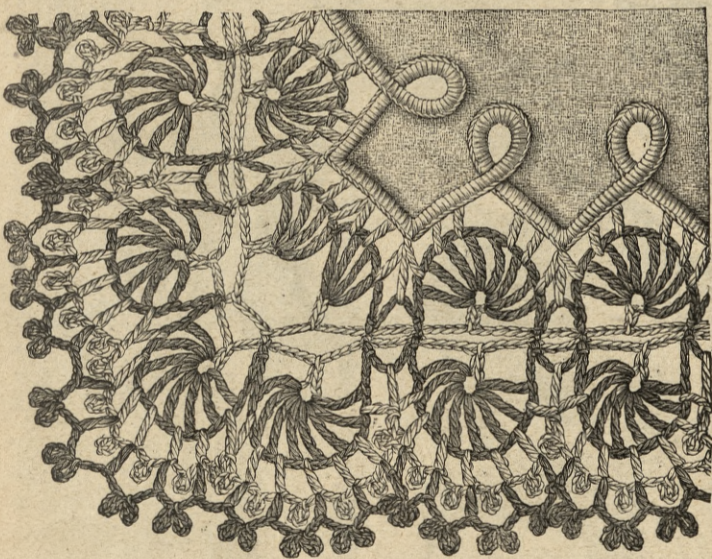
Nr 10. Ozdoba na ścianę. Malowanie i haft na płótnie gobelinowym.



Nr 12. Poduszka, ozdobiona haftem (do ryciny Nr 14). Deseń pierwsza strona tablicy fig. 65 i 66.



Nr 11. Serweta na tacę z szydełkowym szlakiem (do ryciny Nr 13).



Nr 13. Część szlaku szydełkową robotą do ryciny Nr 1'. Wielkość naturalna.



Nr 15. Sukienka dla dziecka od roku do dwóch lat. (Kroj pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 60-63).



Nr 14. Haft do ryciny Nr 12. Połowa wielkości naturalnej.

żyć smażonemi w maśle grzankami, oblać sosem, zaprawiwszy go przedtem odrobiną mąki i wydać bardzo gorące na stół.

## Obiad na Niedzielę.

1. Zupa neapolitańska.
2. Paszteciki w grzankach z championami.
3. Rosboeuf po angielsku.
4. Groszek zielony po angielsku.
5. Indyk nadziewany.
6. Krem ze słodkiej śmietanki.

# MAGAZYN BŁAWATNY JANA GRUCZYŃSKIEGO i S-ki

w WARSZAWIE, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr 7.

NA SEZON KARNAWAŁOWY POLECA:

**Wełny** z jedwabiem na suknie wieczorowe, **Jedwabie** od skromnych do najstrojniejszych adamaszków, **Gazy** i **Muśliny** jedwabne w najmodniejszych kolorach, **Tiule** i **Muśliny** bawełniane fantazyjne, **Koronki**, **Wstawki**, **Gipiury** i **Galony**.

**Ceny przystępne.**

Tablica krojów dołączoną będzie do przyszłego numeru „Bluszczu.”